AS



Nr. 40.

JAK CI Z ROKU 1831 I DZISIEJ
POLACY TWORZĄ ŻYWY MU

CIEKAWE DROBIAZGI

DLACZEGO PAJĄKI PRZYBIERAJĄ POSTAWĘ OCHRONNĄ?

Badania nad zjawiskami kataleptycznemi wykazały, że katalepsja u owadów związana jest ściśle z określonem położeniem ciała, które otrzymało nazwę „postawy ochronnej". Postawa ta polega na wyciągnięciu przednich nóg do przodu, tylnych do tyłu, w ciasnem złożeniu ich i możliwem wyciągnięciu całego ciała. Steiniger stwierdził u niektórych pająków identyczną postawę ochronną. Ciekawem jest, że pewne gatunki pająków, znajdując się w postawie ochronnej zapadają w stan katalepsji, z której własnowolnie wyjść nie mogą. Silniejsza podnieta dopiero powoduje zdolność ruchu i ucieczkę.

Zajęcie postawy ochronnej można wywołać podnietami mechanicznemi, jak lekkiem dotknięciem, wstrząśnięciem podłoża itd. Często pająki przed zajęciem tej postawy szukają jakiegoś wydłużonego przedmiotu i dopiero w jego sąsiedztwie przybierają opisywaną postawę.

Znaczenie postawy ochronnej tłumaczy się tem, że owad po zajęciu jej staje się trudniej zauważalnym przez nieprzyjaciół. Doświadczenia przeprowadzone z pająkami i z ptakiem szukającym pokarmu wykazały, że pająki, które zajęły postawę ochronną nie były spostrzegane wogóle przez szukającego pokarmu ptaka, albo dopiero wtedy, gdy wszystkie inne, które tej postawy nie zajęły były zjedzone.

To że pająki powodowane przez człowieka sposobami mechanicznemi przyjmowały postawę ochronną nie tłumaczyłoby jeszcze dostatecznie genezy postawy ochronnej u tych owadów. Dopiero wyżej opisane doświadczenia z ptakami, właściwymi wrogami pająków — udowodniły, że postawa ta jest uzasadniona i staje się koniecznością życiową pająków.

MISTYFIKACJE I FAŁSZERSTWA

W ostatnich czasach bardzo dużo mówi się o mistyfikacjach w zakresie sztuk pięknych, literatury i muzyki. Ostatnie lata obfitowały wprost w głośne procesy i wielkie skandale, przyczem ofiarami fałszerzy padli nietylko prywatni zbieracze, ale niejednokrotnie pierwszorzędni znawcy sztuki.

Swego czasu głośnemi były nieprzyjemne kompromitacje dyrekcji paryskiego Louvre'u i Muzeum Brytyjskiego w Londynie. Przed paru laty oszukano w Paryżu wielu zbieraczy dzieł impresjonistów francuskich. Oto znalazł się człowiek — wybitny zresztą, jak się potem okazało, malarz, który naśladował tak doskonale dzieła Maneta czy Corota, dając im jednocześnie odpowiednią patynę, że nikt sprzedawanych przez niego dzieł nie poddawał ściślejszym badaniom i uznawał je zgóry za autentyczne.

W zakresie muzyki wydarzyła się niedawno również niebywała sensacja. Oto sławny skrzypek Kreisler — ogłosił, że grany przez niego przed 30 laty repertuar rzekomo starych mistrzów z XVII i XVIII wieku — składał się z jego własnych kompozycyj.

Okazało się, że utwory Vivaldiego, Pugnaniego, Couperina i innych — utwory, któremi zachwycała się publiczność i recenzenci, były kompozycjami skrzypka, który bojąc się złego przyjęcia przez krytykę — zasłonił się staremi i sławnemi nazwiskami.

Podobnej mistyfikacji w zakresie muzyki dokonał Flotow, autor opery „Marta", który ogłosił własny utwór „Pieta Signore" — jako dzieło Stradelliego. W lteraturze duży rozgłos osiągnęła sprawa J. Macphersona, który w r. 1760 ogłosił „Pieśni Ossiana" jako tłumaczenie starych, z III wieku przed Chr. pochodzących poematów. O rzeczy tej napisano wiele rozpraw, rozwodząc się nad pięknem utworów, nikomu jednak do głowy nie przyszło, aby posądzić autora „tłumaczenia" o mistyfikację. Dopiero w r. 1803 odkryto (już po śmierci autora), że „Pieśni Ossiana" są zręcznym falsyfikatem.

W okresie romantyzmu było w modzie utwory własne tytułować jako obce, stare, przepisane z dokumentów lub znalezionych manuskryptów. Legendy takiej dla własnego utworu użył Krasiński („Trzy myśli Ligenzy") i Rzewuski (Pamiętniki Imć. Pana Seweryna Soplicy), podając dzieło za autentyczny rękopis XVIII wieku.

Przykładów mistyfikacji możnaby dać tysiące. Ludzie dla różnych celów i z różnych pobudek, a także bardzo często dla przysporzenia sobie korzyści materjalnych dopuszczali się ich.

CZY „NIEPOTRZEBNE" ORGANY SĄ POTRZEBNE?

Do najpopularniejszych zabiegów chirurgicznych należy m. in. w ostatnich czasach operacja, powodująca usunięcie wyrostka robaczkowego.

Zdania lekarzy co do znaczenia tego organu i ewentualnego usunięcia go bez specjalnych powodów (jak naprzykład stan zapalny) są podzielone. Twierdzi się, że usunięcie wyrostka robaczkowego jest dla organizmu ludzkiego zupełnie nieszkodliwe, a przytem zapobiega ewentualnym zachorzeniom tego organu. Ciekawe jednak światło na to zagadnienie rzucają niedawne doświadczenia przeprowadzone na zwierzętach, którym wyrostek robaczkowy usunięto. Zwierzęta te przez jakiś czas po operacji chudną, potem jednak przybierają na wadze i powracają do normalnego stanu.

Sekcja, przeprowadzona na zoperowanym w ten sposób króliku doprowadziła do ciekawych spostrzeżeń nad zmianami anatomicznemi i histologicznemi wnętrzności zwierzęcia. Oto ślepa kszka, której odgałęzienie stanowi właśnie wyrostek robaczkowy — wykazała znaczne zgrubienia. Ścianki tego organu badane pod mikroskopem ujawniły znaczny przerost tkanki limfatycznej.

Tkanka limfatyczna odgrywa w organiźmie rolę niezwykle doniosłą. Jest ona producentką białych ciałek krwi, tak zwanych fagocytów, broniących organizm przed infekcją. Jeżeli uprzytomnimy sobie, że wyrostek robaczkowy zawiera stale tkankę limfatyczną, nasunie się prosty wniosek, że natura sama naprawiła wyrządzoną przez operację krzywdę organizmowi i gdy zabrakło wyrostka robaczkowego ślepa kiszka przyjęła jego funkcję. Tem tłumaczy się przerost tkanki limfatycznej w ślepej kiszce, ujawniający się po operacji wyrostka robaczkowego — dzięki czemu organizm w dalszym ciągu chroniony jest przed infekcją.

OD GĘSIEGO PIÓRA DO ZŁOTEJ STALÓWKI.

W XX wieku nie można by sobie wprost wyobrazić życia bez pióra do pisania. I pomyśleć, że jeszcze 80 lat temu dziadkowie nasi używali jedynie piór gęsich!

Wynalazcą pierwszej stalówki, był robotnik jubilerski w Birmingham Józef Gillot. Było to w czerwcu 1855 roku. Kiedyś przy pracy zdążyło mu się przypadkiem rozszczepić na końcu cieniutkie dłutko jubilerskie. Chciał natychmiast szkodę naprawić, bojąc się wymówek od szefa. Nim zdążył to zrobić wezwano go do podpisania jakiegoś kwitu. Gillot nie mając pod ręką pióra gęsiego, zamaczał dłutko w atramencie i kwit podpisał. Przekonał się przytem, że metalowem narzędziem lepiej można się podpisywać niż gęsiem piórkiem. Wtedy wpadło mu na myśl, że mógłby przecież masowo wyrabiać owe „pióra".

Pierwsze fabrykowane przez Gillota stalówki, różniły się bardzo od obecnie używanych. Rączka tworzyła z samą stalówką jedną całość. Były to poprostu stalowe wałeczki, długości obecnie używanych ołówków, na końcu spłaszczone i rozszczepione.

Pióra te miały odrazu duże wzięcie, tak, że w niedługim czasie Gillot porzucił pracę jubilerską i założył własny warsztat fabrykacji piór. Dorobił się na tem wcale pokaźnego majątku. Z czasem zaczął rzeźbić różne ozdoby na rączkach. Potem zaczął nawet na nich robić inkrustacje z masy perłowej i złota.

W niespełna dwa lata, pióra Gillota stały się sławne na obu półkulach. Zaczęto wyrabiać oddzielnie stalówki a oddzielnie rączki i wtedy rozwój fabrykacji poszedł szybko naprzód. Nie było państwa w którem by nie powstała przynajmniej jedna fabryka stalówek.

Dopiero jednak XX wiek — wiek przyspieszonego tempa życia — przyniósł zasadniczą zmianę w wyrobie piór.

Ludzie interesu doszli do przekonania, że tracą za dużo czasu na ciągłe maczanie stalówki w atramencie. Ponieważ stare przysłowie głosi, że potrzeba jest matką wynalazków, więc skonstruowano pierwowzór obecnie rozpowszechnionego „wiecznego pióra".

Wynalazcą tego pierwowzoru był skromny braciszek-kwestarz z zakonu OO. Kapucynów, z klasztoru La Roche w Sabaudji. Na imię braciszkowi było Kandyt. Ponieważ brat Kandyt w czasie swych licznych wędrówek kwestarskich nie rozstawał się z flaszeczką atramentu i piórem, często się zdarzało, że flaszeczka z inkaustem nie była dosyć mocno zakorkowana i wtedy cała zawartość torby podróżnej zalana była atramentem.

Po kilku takich wypadkach, zaczął brat Kandyt przemyśliwać nad tem jakby się na przyszłość uchronić od podobnych nieprzyjemności. Po dłuższem majstrowaniu, wpadł na pomysł pióra zaopatrzonego w rezewuar na atrament. Rezerwuar ten sporządzony był z rurki mosiężnej, zamykanej korkiem umocowanym za pomocą spiralnego drutu. W niedługim czasie powstało w miejscowości Sallanges osobne towarzystwo dla eksploatacji wynalazku brata Kandyta.

Teraz niema chyba żadnego państwa cywilizowanego w którem nie byłoby przynajmniej choć jednej fabryki wiecznych piór.

Obecnie weszły w modę wieczne pióra ze szklanną „stalówką". Niemal każdy rok przynosi i w tej dziedzinie jakieś ulepszenia lub inowacje.

Już na wiele lat przed wojną zaczęto wyrabiać wieczne pióra ze złotą stalówką. Potem dodano dla trwałości koniec z irydjum.

Pierwsze złote pióra były bardzo drogie i tylko bogatych stać było na kupienie ich. Teraz można już za parę złotych otrzymać wcale niezłe pióro, nawet z gwarancją kilkoletnią.

Lecz z czasem i pióro zostanie wyparte przez maszynę do pisania. Nadejdzie czas, gdy pióro służyć będzie jedynie do podpisywania się. Postęp cywilizacji idzie ciągle naprzód, a również niepoślednią rolę gra tutaj zwarjowane wprost tempo dzisiejszego życia.

Na zakończenie muszę dodać, że niektóre muzea posiadają specjalne działy w których przedstawiona jest historja stalówki.

Na licytacji w Paryżu, sprzedano trzy lata temu gęcie pióro używane przez nieszczęśliwą królowę francuską Marję Antoninę, za bajońską wprost sumę 12 tysięcy franków. Kupił je miljoner turecki Nadir-Haman-Pasza, fanatyczny czciciel ścięte monarchini. Ma on w swoim pałacu pod Stambułem prawdziwe muzeum pamiątek po Marji Antoninie.

Dla orjentacji nadmieniam, że Polska zużywa rocznie 4—5 miljonów stalówek, których głównymi odbiorcami są uczniowie.

Mieczysław Dunin Borkowski

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

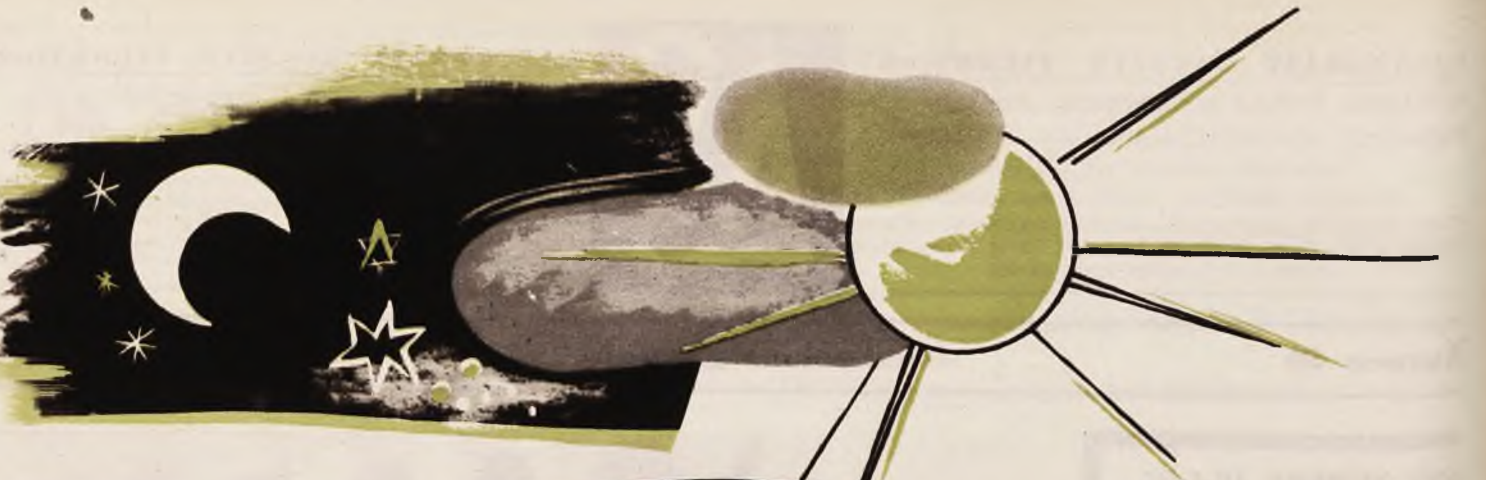
Numer 40 **Niedziela 1 grudnia 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 40-GO:



FOT. POLOŃSKI.

Już od początku grudnia zaczyna się powoli rozwijać nastrój świąteczny. Przecież w początku miesiąca Święty Mikołaj, przyjaciel dzieci, oczywiście tylko grzecznych, daje im swymi podarunkami niejako „przedsmak", tego co ich czeka na gwiazdkę. Święty Mikołaj — to oczywiście rodzice, którzy swym pociechom przygotowują niespodzianki. Stary i piękny ten zwyczaj znany jest w całym świecie, a nawet gwiazdy filmowe hołdują mu chętnie. Oto miss Claire Trevor z zabawkami, które niesie dla dzieci swych przyjaciół.



NOC I DZIEŃ LISTOPADOWY



Adama Mickiewicza: „Dziady". Teatr Miejski w Krakowie. Rok 1901. Scena Wielkiej Improwizacji: Ksiądz Piotr (J. Sosnowski), Gustaw-Konrad (A. Mielewski), kapral (L. Stępowski), Duch (A. Bednarczyk). (Fotografje ze zbiorów autora).

O! Polsko! Polsko! święta bogobojna:
Jeżeli kiedy jasna i spokojna
Obrócisz swoje rozwidnione oczy
Na groby nasze, gdzie nas robak toczy:
Gdzie urny prochów pod wierzby wiosenne
Skryły się dumać jak łabędzie senne:
Polsko Ty moja! gdy już nieprzytomni
Będziemy — wspomnij Ty o nas! o wspomnij:
Wszak myśmy z Twego zrobili nazwiska
Pacierz co płacze i piorun co błyska.

Polska wysłuchała modlitwy poety — Juljusza Słowackiego. Listopad, „ta niebezpieczna dla Polaków pora", stał się miesiącem narodowych wspomnień. W chwili, gdy cała przyroda zamiera — w ziemi spoczęły życiodajne ziarna krwi bojowników o wolność, lecz

gdy wszystko żywe musi lec
pod ręką, która znaczy kres: —
śmierć tych użyźnia nowe pędy
i życie nowe sieje wszędy...

A wizją poety Wyspiańskiego wyczarowana postać Kory, symbolizująca duszę narodu polskiego, zapowiada w noc wybuchu Powstania Listopadowego

krwi przelanej na zmarnię.
Krwią pola i role użyźnię —
i synów z krwi tej dam — kiedyś —
Ojczyźnie.

— — — — — — — — — — — —

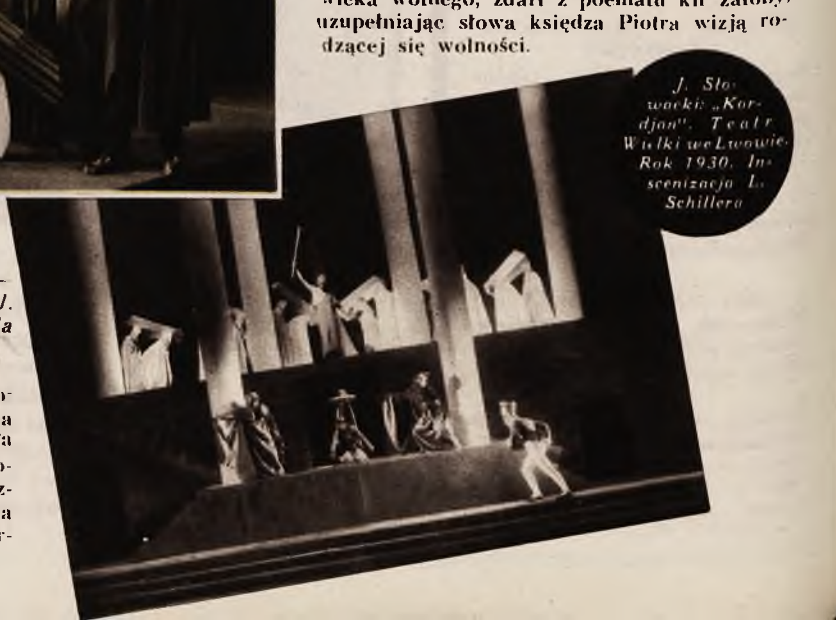
Najsilniejszym wstrząsem narodowym w historji Polski niewolnej był upadek Powstania Listopadowego. Tragedja ta mocniej poruszyła sumienie narodowe, aniżeli dni rozbiorów, klęska Konfederacji Barskiej, Powstania Kościuszkowskiego lub rok 1848, 1863. Najpotężniej i najpiękniej objawiła się w poetyckich wizjach Wieszczów, których misterja narodowe stały się naprawdę dla wielu pokoleń pacierzem wspomnień i wiary, piorunem buntu i walki.

Upadek Powstania Listopadowego zrodził nasz wielki dramat: bezpośrednio „Dziady" Mickiewiczowskie i „Kordjana" Słowackiego. Okrzyczane za niesceniczne — w ramy teatralnego widowiska ujęte zostały dopiero na scenie Teatru Miejskiego w Krakowie, za niezapomnianej dyrekcji Józefa Kotarbińskiego. Po raz pierwszy wystawił Kordjana (w 10 obrazach) dnia 25 listopada 1899 w własnym układzie, przy współpracy reż. Solskiego i plastycznej Włodzimierza Tetmajera i J. Spitziara z Tarasiewiczem jako bohaterem poematu. Do opracowania tekstu, oprawy malarsko-plastycznej i częściowej reżyserji arcypoematu „Dziady", zaprosił Kotarbiński Wyspiańskiego, który dał pierwsze śmiałe i oryginalne przedstawienie w pierwszą noc listopadową (31 października 1901). Zjawy, widma przedstawione były w formie naturalnej, stężałej bryły i barwnej plamy, jak na obrazach Matejki czy Malczewskiego. Niektóre momenty inscenizacji Wyspiańskiego są nieupospolicie piękne i sugestywne. Gustawem — Konradem był Mielewski, ks. Piotrem — Sosnowski, Marylą — Wysocka, senatorem — Kotarbiński.

Po tych historycznych, pionierskich inscenizacjach przyszły niedawno nowe, coraz śmielsze, ciekawe, piękne, równie twórcze. Zwłaszcza „Dziady", jako poemat teatralnie najtrudniejszy i najbogatszy w możliwości inscenizacyjne, grane były w opracowaniach Trzcińskiego, Wysockiej, najwspanialszem — budującem z „Dziadów", głęboko religijne i narodowe misterjum — Schillera i wreszcie w oryginalnem opracowaniu Pobóg-Kielanowskiego (listopad 1935 w Katowicach), który spojrzał na „Dziady" oczyma człowieka wolnego, zdarł z poematu kir żałoby, uzupełniając słowa księdza Piotra wizją rodzącej się wolności.



A. Mickiewicz: „Dziady". Teatr Polski w Warszawie. Rok 1934—1935. Gustaw (J. Węgrzyn), Maryla (Barszczewska).



J. Słowacki: „Kordjan". Teatr Wielki we Lwowie. Rok 1930. Inscenizacja L. Schillera

Duchowy dramat dziejów polskich, poemat Słowackiego o barskim proroku ks. Marku, wróżącym Polskę nową poprzez śmierć i męki teraźniejsze, wystawił Kotarbiński po raz pierwszy zaraz po „Dziadach" 20 listopada 1901 (ks. Marek — Kotarbiński, Kosakowski — Mielewski, Judyta — Siemaszkowa).

Zamknięciem wielkiej epoki misterjów narodowych, zrodzonych tragedją niespełnionych nadziei nocy listopadowej, jest twórczość Stanisława Wyspiańskiego. Jego „Warszawianka" (grana po raz pierwszy na krakowskiej scenie 29 listopada 1898) — jest dramatem całego pokolenia 1830 r. i Polski, ofiary romantyzmu grobowego, której synom zabrakło wiary i czynu, dążącego do zwycięstwa. Rozkochali się w śmierci. Nie mogli zdobyć wolności, bo nie wierzyli w nią. (Chłopickiego grał Knake-Zawadzki, Wiarusa — Solski, Marję — Siemaszkowa). W „Lelewelu", ściśle historycznym reportażu, rozważa i pogłębia Wyspiański istotne przyczyny upadku powstania, przypatrując się jego kierunkom, wodzom i uczestnikom. Widzi jeszcze raz a silniej, że tragedją duszy narodu było zabłąkanie się w nastrojach poetyckich, marzenia wodzów o mistycznym rządzie dusz, wiara w rewolucyjność ducha. („Lelewela" grano na krakowskiej scenie w 1899 r.). — Wizją tragedji mistycyzmu polskiego jest Wyspiańskiego dramat historyczny o niehistorycznym Mickiewiczu „Legjon" (grany po raz pierwszy również w listopadzie 1911 r. za dyr. Solskiego). Cała twórczość Wyspiańskiego była walką z bezwolą i wewnętrzną bezdziejowością, była — jak powiada Stan. Brzozowski — „bolesnem dopracowywaniem się narodowej duszy", której wartość i potęgę chciał wtopić w indywidualne dusze każdego. Słowami Mickiewicza każe wierzyć Wyspiański w tę „prawdę, że gdy suche belki zwątpienia się zawalą, gdy śmierć małoduszności stanie u steru łodzi, gdy płomienie ofiary oczyszczą zmurszałość serc, wówczas zmartwychwstaniecie młodzi".

Po „Weselu" (granem poraz pierwszy za Kotarbińskiego w 1901 r.) obrazie współczesnego społeczeństwa, pozbawionego wiary we własne siły, w „Wyzwoleniu" (za Kotarbińskiego 1903 r.) stwierdza, „że wyzwolin ten doczeka dnia, kto własną wolą wyzwolony". I wciąż myśli o walce zbrojnej, bo nie ścierpi już niedoli, ani niewolnej nędzy, bo „naród ma jedynie prawo być jako państwo". Dlatego rozpatruje raz jeszcze losy Powstania Listopadowego, rozpoczynając w dniu 14 listopada 1901 tworzenie scen historycznego dramatu „Noc Listopadowa", (grany po raz pierwszy w Krakowie 28 listopada 1908). Widzi już teraz w powstaniu zdrowy odruch, już kończy dramat kilku godzin zapewnieniem, że krew przelana nie pójdzie na marne i silnym akordem modlitwą Łukasińskiego: „

Witaj jutrzenko
swo-bo-dy
Za tobą zba-wie-nia
słoń-ce. —

Ideologją zwycięstwa, która powinna przeorać serca i dusze wszystkich, a wówczas doprowadzi do zmartwychwstania, jego przepiękną wizją zamyka w „Akropolis" swe narodowe misterja Wyspiański („Akropolis" wystawiono po raz pierwszy na scenie krakowskiej znowu w listopadzie 1926 r. za dyrekcji Z Nowakowskiego).



Stanisław Wyspiański : L. Solski jako Stary Wiarus w „Warszawiance".



Stanisław Wyspiański: „Noc listopadowa". Teatr Polski w Warszawie. Rok 1930. Dekoracja W. Drabika.



W kole: J. Sosnowski jako Chłopicki w „Warszawiance" Wyspiańskiego.

Największy po Wyspiańskim pisarz, Stefan Żeromski w „Róży", wizji walk rewolucyjnych 1905 r. woła: „nienawidzę złego, które w nas jest, aczkolwiek przez wieki patrzenia w złe zrozumiałem, ja, lekarz waszej natury, że jest ono twardem i grubem nasieniem, z którego gdy minie długa zima, dobro wypuści kły". Długa zima minęła „Dobro wypuszcza kły" bo dusza narodu oczyściła się w męce serdecznej („Ponad śnieg"). Ale przez długie lata niewoli składana ofiara ze szczęścia osobistego nie skończyła się jeszcze. („Uciekła mi przepióreczka"). Teraz właśnie, gdy odzyskaliśmy wolność, trzeba dźwigać ciężkie, jeszcze cięższe brzemię odpowiedzialności dziejowej.

Dzień listopadowy, który zrodził się z długiej nocy, łuną pożarów płonącej i oparami krwi przesiąkniętej, triumf zmartwychwstania, czeka na wielkiego poetę, któryby wyzwolenie duszy narodu w nowem, wspaniałem misterjum objawił. Pierwszą próbą, młodzieńczą jeszcze, a jednak nadwyraz piękną i dojrzałą, jest poemat dramatyczny M. Niżyńskiego „Trzy Mgły" (wystawiony znowu przez najbardziej narodową polską scenę, teatr krakowski, 11 listopada 1935 r.). Człowiek złożywszy ofiarę z własnego szczęścia, chwyta karabin czynu, a w wyzwolonej Ojczyźnie także ideę ofiary uważa za najszczytniejsze posłannictwo. Z tej idei rodzi się nowy czyn: potęga Rzeczypospolitej.

Poeta, który świadomie nawiązuje do twórczości Słowackiego i Wyspiańskiego, kończy poemat wymownym symbolem: Na gmach naszego bytu narodowego wydźwignięty być musi potężny głaz. A spełni się to wówczas, gdy ideą będzie ofiara i

Proste prawo: razem!
Nikt albo wszyscy. Póki jeden człowiek
z założonemi będzie stał rękoma
nie wierzę, aby ten uparty kamień
koroną dosytu błysnął na budowie.

Stan. Witold Balicki.



Marjan Niżyński: „Trzy mgły". Teatr Miejski w Krakowie. Rok 1935. Wizja ołowianych żołnierzyków. Oprawa malarska R. Orszulskiego

Akademja WESOŁOŚCI!

Gdy śmieli się grecy — brzeg morza trząsł się. Nie można od nas Polaków wymagać takiej wesołości. Na to trzebaby mieć słoneczną duszę Hellady i w każdem drzewku widzieć Pana, na niebie Apolla, a na Olimpie Gromowładnego, zajmującego się więcej ziemiankami niż losami świata. Zato możnaby widzieć nas częściej śmiejących się — powiedzmy uśmiechających. Nazywamy siebie Francuzami północy, a Niemców ociężałemi, Anglików ponuremi. Nic fałszywszego pod słońcem! To my jesteśmy urodzeni karawaniarze, Niemcy są więcej dobroduszni niż przypuszczamy, a Anglicy to naród tak pogodny i miły (w swojem kółku), jak żaden może inny na świecie. Powiedzmy to sobie w oczy: jesteśmy ponurzy. Nie chodzi mi oczywiście o wesołość sztuczną, z pod znaku „Czystej". Ale jakże często u nas nawet alkohol nie wzbudza wesołości. — Nie — chodzi mi o tę codzienną wesołość, o pogodę, brak zgryźliwości, wreszcie całkiem zwykłą uprzejmość.

I skąd właściwie pochodzi ten brak wesołości?

Mamy wolność, pozycję w świecie międzynarodowym, kryzys niezbyt wielki, wszystko albo jest w porządku, albo na najlepszej drodze, a mimoto każdy, kogo się spytamy „Co słychać", zacznie nam się skarżyć: „Ciężkie czasy, bida, brak pieniędzy". Ma się wrażenie, że to sami męczennicy.



Amerykanin zapytany: „How do you do?", choćby 3 dni był bez obiadu, odpowie „Fine" Świetnie! i ma rację, bo 1-o co to kogo obchodzi, że jest mu chwilowo źle, — 2-o on już sobie da radę i będzie mu jeszcze bardzo dobrze, 3-o poprostu wstydziłby się przyznać, że mu się źle powodzi. A my? Boimy się poprostu przyznać, że nam jest dobrze i zamykamy na to oczy, że nam jest nieźle! Wogóle spotkanie znajomych wygląda często tak, jakby jeden drugiemu (za przykładem Kamedułów) powiedział „Memento mori", a nie miał zamiar prowadzić przyjacielskiej rozmówki.

Mówi się potocznie: dawniej lepiej było! Przepraszam, zastanówmy się chwilę nad tem „dawniej"?

Weźmy n. p. sto lat temu. Obrazek codzienny: w kuchni ognia zapalić nie sposób, bo hupka zamokła, klempa Kaśka wylała wodę, idąc od studni, pani niepokoi się, bo córka donosi w liście, że chora, a tu wiadomości idą tygodniami. Oczy ją bolą bo świeca męczy. (Wszak Goethe marzył: „Cudnyby to był wynalazek, światło bez obczyszczania!"). Pan domu z powodu złych interesów nie może wyjechać na odpoczynek — podróże to kosztowna i żmudna rzecz!

Teraz ogień nosi się w kamizelce, elektryczność świeci tak silnie, jak chcemy, woda płynie ze ściany, z córką o tysiące kilometrów oddaloną łatwo rozmawiać, za parę złotych możesz pojechać w góry i oddychać dowoli cudnem powietrzem!

Czy przypomnieć jeszcze bruki (a raczej ich brak), ubrania, higienę, bezpieczeństwo? Chyba każdy z historji i książek wie, że my teraz żyjemy jak króle, ba, znacznie lepiej, w porównaniu z dawnemi „dobremi czasami!".

A zresztą! — w wykopaliskach Mezopotamji znaleziono niedawno cegiełkę, w której jakiś zacny Babilończyk skarży się, że dawniej (!) było lepiej. Więc kiedyż — u djabła — było dobrze, jeżeli przez 4000 lat nic się nie zmieniło?!

Miejmy zdrowy rozsądek przyznać: dobrze jest! A będzie jeszcze lepiej. A wojna naprzykład? O wiele lepsza teraz, niż dawniej, kiedy to po wojennej okazji zostawał cały kraj spalony, a ludność tysiącami marła z głodu i różnych zaraz. Pewnie, ogień karabinów maszynowych, gazy etc. — rzecz przykra. A czy cholera, tyfus, trąd czy inne „miłe" choróbki średniowiecza (przy jednoczesnym braku Czerwonego Krzyża i wszelkiej opieki lekarskiej) były miłe? Na katar umierało się swego czasu, a teraz gwałt, jeżeli ktoś umrze choćby na najpoważniejszą chorobę. Nie — dobrze nie było, ale j e s t dobrze

Piękne Panie też często narzekają. Nie, Wy najmniej macie powodu do narzekania. Popytajcie się tylko, co dawniej kosztowała elegancka suknia lub kapelusz z piórami strusiemi, wiele kosztował brokat i wiele koszul królewny w posagu dostawały! Teraz suknia to nie kwestja pieniędzy, ale — tout bonnement — smaku. — Każda może sobie przy najskromniejszej sakiewce pozwolić na olśniewanie kopją Patou, czy Wortha. — Nie trzeba już czekać, aż raz na rok zajedzie na rynek kupiec z wozami ładowanemi i na wagę złota będzie sprzedawał „ostatnie" modele z dalekich krain. Niedawna przeszłość: gorsety, postiche etc., czy to było miłe? „Musimy pracować, w biurach tracimy zdrowie!" Pardon — sameście tego chciały. — Miss Pankhurst et consortes tak długo biły w kaski poczciwych policjantów, aż dostały „równouprawnienie". — Więc? proszę nie narzekać i przyznać, że biuro ma dwie strony, tam często nie jest tak znów źle. — Co najważniejsze: kobieta 30-letnia była kobietą w podeszłym wieku, widzimy ją nieraz na portretach w czepku babcinym. A teraz? — no, same wiecie!

Romantyzm! Aha, to jest pewno to, co minęło i nie wróci? Przepraszam — romantyzm to kwestja serca. Jak kto potrafi kochać to i w wagonie ozłoci swej towarzyszce podróż, łatwiej niż zgnieciony na śledzia w ś. p. pocztowej karocy! Nie! serce właśnie teraz może swobodniej bić, niż dawniej. — Nie dajmy się łudzić zwietrzałemi liścikami, które kryły w sobie romantyzm, ale i wieleż niezaspokojonych marzeń, krwawych tragedyj, złamanych serc. — Nasze piękne panie mogą się tylko cieszyć, że żyją teraz, a nie w dawnych „dobrych" czasach. Nie ma co nawet mówić o uczonych. To, co taki uczony dziś wynajduje, za co mu płacą i stawiają pomniki, to dawniej za część tegoż spalonoby go żywcem na stosie, a prochy rozsypano na cztery wiatry. Niechby tak kto przejechał się w XV wieku na rowerze choćby, albo — broń Boże — zapalił kieszonkową latarkę, lub — o zgrozo — zaczął rozmawiać ze ścianą i powiedział, że to telefon. — Miałby się z pyszna! Nie, nie były to słodkie czasy.

Teraz panowie mają głos! Oczywiście kryzys, brak pracy, bieda aż piszczy, ceny zboża spadają itd.!

Odpowiem autentyczną anegdotką: do prezydenta USA przychodzi reporter poważnego pisma i prosi o wywiad. — Co pan prezydent myśli o kryzysie? Prezydent milcząc, podaje mu wycinek z gazety. Reporter czyta: „bankructwa, bezrobocie, drożyzna" etc. etc.

— Panie Prezydencie, to ja wiem, ale moi czytelnicy chcieliby wiedzieć, jak P. Prezydent ma zamiar temu zaradzić? — Proszę Pana, pan nie zauważył, że to gazeta z przed 50 lat!

Morał jasny: kryzysy to objawy perjodyczne, przychodzą i mijają. Rzućmy w kąt czarne okulary!

Jest jeszcze inny cudowny wynalazek, oprócz „Keep smiling", to podarek łacińskiej znów kultury „joie de vivre" — radość życia. Beztroskie odnoszenie się do zdarzeń, wiara w przyszłość widzenia wszystkiego z dobrej strony. Ta okrasa życia, to — optymizm.

Germańska rasa wytworzyła znów pojęcie „gemütlich". Nie dające się przetłumaczyć słowo, oznaczające pogodne odnoszenie się do bliźnich i przykrości. — Japończycy znów mają inny system: zawsze uśmiechać się. — U nich nie jest to optymizm, ani beztroska, tylko hart ducha, zaparcie się siebie i niechęć uzewnętrzniania swoich uczuć. — Mamy więc aż 4 drogi do uprzyjemnienia sobie i innym życia.

Pozbądźmy się obrzydliwego pesymizmu i zniechęcenia. — Życie jest piękne! pod słońcem jest miejsce dla każdego, więcej energji, mniej złości i zazdrości, a będzie nam dobrze jak w raju!

Szczęście nie przychodzi z zewnątrz, lecz z wewnątrz, trzeba je w sobie wyszukać, „nastawić się" na przyjęcie choćby drobnych dobrych momentów, które życie, mimo wszystko, ze sobą przynosi. W tem sztuka!

Jako nam najbardziej chyba odpowiadający, wybierzmy sobie system anglosaski i powiedzmy sobie:

Keep smiling!

J. Dołęga Lewandowski.

W JEDNEJ 100.000-nej SEKUNDY!



Zanim mleko wyleje się w całości ze szklanki, która upadła na ziemię, szkło jej jakgdyby się „namyślało" i utrzymuje ciecz jeszcze częściowo w swych granicach.



Chwila rozbicia żarówki młotkiem. Zdjęcie dokonane jest na jedną 100.000 sek. przed rozleceniem się kawałków szkła.



Na lewo: Oto jaką postać przyjmuje piłka do rugby w chwili kopnięcia jej przez gracza.



Piłka golfowa spłaszcza się znacznie w chwili uderzenia jej laską do golfa.

Dramat
RAJSKIEGO PTAKA



„Ptak bóstwo" — „paradisea apoda", któremu rajskie pochodzenie przypisują mieszkańcy Nowej Gwinei

Starszy dozorca zoologicznego ogrodu Albert powitał mnie smutną wiadomością.

— Proszę pana, dziś w nocy usnął „Królewicz".

W dłoni zaś dozorcy ciężkiej i spracowanej widniało trochę pierza, maleńki kłębuszek piór, pokrywających martwe ciałko ptaka, tak pięknych jednak, iż zdawało się, że za życia barw swoich zapożyczyły od tęczy.

Przed dwoma laty, przybył on, z ojczyzny swojej — Nowej Gwinei, sprowadzony w ogrzewanej klatce, przez importera zwierząt z Alfeld i dwa lata bawił sobą zamkniętą woljerę wielkiego zoologu. Nazwany Królewiczem (gdyż w księdze meldunkowej tego zwierzęcego społeczeństwa każdy z mieszkańców, prócz nazwy gatunku, posiada imię własne) pędził dwa lata bajeczny ten ptak żywot beztroski, w gronie kolibrów i małych papużek, by w pełni lata zakończyć swój żywot. Jedyny okaz żywego Rajskiego ptaka w Europie (Lophorina regia) otoczony nimbem tajemniczości i bajecznego pochodzenia, zgasł nagle, nie dając obserwującym go naukowcom możliwości dokładnych badań i obserwacji.

Istniejąca w czterdziestu niespełna odmianach rodzina ptaków Rajskich (Paradisea) mało znana poza ojczyzną swoją, w niej samej (Nowa Gwinea) otoczona jest sławą bajecznego pochodzenia. Płochliwe, zamieszkujące szczyty drzew puszcz nieprzebytych, zrzadka tylko niekiedy śmigające w plątaninie drzew przed oczyma człowieka, a zawsze ukazujące się mu jako barwisty bukiet, trzepoczący skrzydełkami, wysoko, na tle błękitów nieba, w pobudliwej fantazji prymitywnego krajowca, uchodzić musiały jako ptaki Boże, z raju na ziemię niekiedy się wymykające...

Legenda, tak piękna, jakiej niedoczekały się inne zwierzęta, głosi o nich baśń tęczową.

Gdy Wszechmogący, utrudzony dziełem świata, dnia siódmego w śnie szukał pokrzepienia, przyśnił się Mu właśnie ptak czarowny. Snem własnym zachwycony Stwórca, obudził się i z barw najwspanialszych klecąc, bogatym formom istnienia dał kształt nowy, stwarzając tego właśnie ptaszka. Jakżeżby nie miał być wspaniałym, gdy go fantazja Boska stworzyła?

Po raz pierwszy zostaje Europa zachwyconą tym ptakiem w roku 1522, gdy to do portu w La Valencia zawinęły korwety don Pigasseta. Wiozły te korwety z mórz dalekich północnej Australji zew Wielkiej Przygody, zbroice pogan, muszle przepiękne, perły dla kochanek, w zawiniątku zaś z żaglowego płótna pęk piór złocistych ptaka, które za pióra Fenixa poczytywano. Pobladły z zachwytu piękne senority, pobladły z zadrości i te, którym niedanem było złocistego pióra rajskiego stworzenia na kapelusz w czasie fet ludowych nałożyć.



Odmiana ptaka rajskiego — „paradisea papuana", która została już doszczętnie wytępiona.

I rajski ptak u pań pierwszych pierwsze wielkie zainteresowanie pobudził. Za wzorem dam, tworem tym dziwnym interesować się zaczęły dwory monarsze i przebywający na nich uczeni. Maximiljanus Transilvanus w kronikach swoich podaje, jak to korwety hiszpańskie dar wspaniały Carolusowi V przywożą, Rajskiego ptaka. Możny pan aż w ręce zaklasnął z podziwu. Jekżesz to? Czy być może, by istota tak nikczemna, jak ptaszydło, tak wspaniały strój nosić miała? A trubadurowie długo potem ody o Boskim ptaku śpiewały.

Ściślejszych danych dostarcza, półlegendarnej jeszcze zoologji o rajskim ptaku Lesson i Guimard, którzy organizują ekspedycję ornitologiczną na wyspy Oceanji. Doktór Lesson, spędzając tygodnie całe w lasach, upolowywuje dwa ptaki, zaczajony w gąszczach, obserwuje ich życie i zdobywa ciekawe notatki.

Najmniejszy okaz rajskiego ptaka z Nowej Gwinei, zwanego przez uczonych „Lophorina regia".



Zawstydzona legenda ustępuje miejsca prawdzie.

Bajeczne w barwach i budowie, są jednak one, jak i inne ziemskie stworzenia, prozaiczne w sposobie życia. Nie żywią się balsamicznemi oddechami kwiecia, jak o nich mówiono i rosą niebiańską, ale spożywają owady i ziarna, a piękny raju mieszkaniec wbrew baśni, że nóg nie posiada, gdyż żyje tylko w locie, okazuje się, że ma cienkie nóżęta, uzbrojone w małe paluszki (naukowa nazwa łacińska przechowała strzęp legendy, ptaki rajskie nazywając „apoda" — beznogie). Ponadto dr. Lessonowi proponuje na Amboinie jakiś kupiec chiński sprzedaż dwu takich żywych ptaków, które u niego w kurniku żywot wiodły. Z istoty zrodzonej w Boskim śnie przechodzi Paradisea do zoologji ściśle określony w gatunku, skatalogowany, a po dziś dzień pozostający jedną z najmniej znanych istot na ziemi. Wielka wiedza zoologji obejmująca sobą miljony różnorodnych tworów, zachwyciła człowieka bogato obdarzonym przez naturę ptakiem, zazdrośnie kryjąc przed nim, po dziś dzień tajemniczy żywot jego.

Rajskim ptakiem zainteresowała się piękna pani, to też z rozkazu wszechwładnego paryskiego Poiret'a, na wyspach Australji urządzano formalne masakry rajskiego ptaka, aż omal-że nie wyginął. Dla pięknej pani, która ma przecie takie dobre serduszko! Zmiana mody dała armisticium temu pięknemu stworzonku przez lat dwadzieścia zgórą, aż oto nadchodzą nowe niepokojące wieści. Paryż znów dyktuje modę piór na kapeluszach!

Tam, gdzie nie targnęła lasem stalowa siekiera pionierów cywilizacji żyją one w nielicznych już odmianach, bukietami swoich piór błądząc po błękitach, pijąc rosę z kwiatów, czarując baśnią proste serca wyspiarzy.

Niech sprawcą ich zagłady nie będzie piękna pani.

Feliks Dangel.

„PEGAZ II."

Juljusz Mieroszewski NOWELA Ilustr. J. M. Brzeski

Na 67-ym kilometrze nowoczesny Ford, o opływowej linji model 1935, przemieniać się począł zwolna w czarodziejską „torpedę czasu". Metamorfoza powyższa wpłynęła fatalnie na jego dotychczasową chyżość, która z płynnych 60 klm./godz. przeszła w męczące i trzęsące „staccato" 10 klm./godz.

Za wzgórzem pozostał gładki gościniec. Obecnie forsowaliśmy wyboistą surową drogę, pełną zamarzniętych kałuży. Cienki lód pryskał jak szkło wgniatany oponami kół — błoto lepkie i ciężkie więziło pojazd. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że dzielna maszyna poprostu się dusi; chrapliwy, zmęczony stuk motoru świadczył o upartym wysiłku, pozbawionym wiary w powodzenie. Po paruset metrach natrafiliśmy na mostek i z grząskiego błota wydostaliśmy się na twardy ugór.

Poczęło się ściemniać. Szpilkowy las wyrósł po obu stronach drogi. Gdy ostatni raz spoglądałem przez okno, zaledwie kilka drzew było w polu widzenia. Droga zwężiła się do przestrzeni kilku metrów.

Horyzont rozpływał się w mglistym oparze. Niebo, pochylone nisko nad lasem, wyglądało jak nawisy topniejącego śniegu nad głęboką przepaścią. Droga zbiegała się w prostolinijnej perspektywie; wydawało mi się, że niknie wśród drzew w gmatwaninie leśnych ścieżek.

Widocznie i szofer odczuł, że nasz Ford przemienił się już najzupełniej w „torpedę czasu". Współczesność została daleko za nami na 67-ym kilometrze.

— Tu już dawno tak być musi — odezwał się bez związku pod moim adresem

— Tu zawsze jest „dawno" — pomyślałem. Nie miałem jednak ochoty na rozmowę.

Zapaliliśmy światła. Ostre strugi świetlne rozbiły się pierzasto o mleczną mgłę. Zaczął padać śnieg dużemi płatkami.

Zatapiamy się — pomyślałem. Patrząc przez szybę odnosiłem wrażenie, jakie się mieć musi, patrząc przez kryształowe okno w łodzi podwodnej. Tak gwałtowny odczuwałem kontrast między wygodnem wnętrzem limuzyny, a nierealnem widmem świata. W białej fosforescencji reflektorów gięły się konary drzew, świerki i sosny — oderwane od podłoża — uciekały posuwistym, płynnym ruchem

Znajdujemy się u genetycznego źródła bajki — pomyślałem.

Jechałem przez dziwny pejzaż. Przedemną kłębił się migotliwy tuman mgły, nasycony żółtawem światłem reflektorów. Ruchliwa, bezkształtna masa, pijąca błyski latarń. — Przez boczne szyby widziałem szarzejący mrok. Las w nocy stanowi osobliwe widowisko. Jakaś baśniowa tajemniczość przenikała poza szybami. Las gęstniał. Ściemniało się.

Zapaliłem papierosa i cofnąłem się w głąb auta. Lepiej otuliłem nogi derką.

— Mocny nastrój! — pomyślałem ze znawstwem. Zawsze reagowałem na niego równie silnie, choć przecież znałem te wszystkie akcesorja niemal napamięć. Tak, ten las drobycki stanowił dobrze zredagowany wstęp do XIX wieku, który niepodzielnie królował w Drobyczach. Ford o opływowej, modernistycznej linji, wiózł nas w lata dziewięćdziesiąte.

Nie zatrzymałem się jednak w Drobyczach. Wielkim łukiem minęliśmy park, zlewający się z lasem i wjechaliśmy na szeroką, wyboistą drogę spławińską. Nocny przymrozek spopręgował twardo ziemię. Ford odbijał się jak piłka od grudy, posuwając się ostrożnie, metr po metrze.

Za Zielenicami spotkaliśmy księżyc. Wynurzył się z za linji lasu, nurkując wśród białych szybkich chmurek, zmierzających ku zachodowi. Droga nasza biegła po falistym płaskowyżu. Nigdzie nie widać było domów. Zielenice nie były ani wsią, ani osiedlem, tylko wielkim lasem, z kilkukilometrowym łysym płaskowyżem, przez który jechaliśmy w tej chwili. W drobyckim lesie mieszkał smolarz i gajowy Skałuba. W Spławinie nie było nawet gajowych.

Po czterech godzinach osiągnęliśmy wreszcie Spławin. Ciężko dysząc, Ford wtoczył się w bramę wjazdową. Reflektory rzuciły w ślepe okna pałacu snop światła. Przez moment spławiński dwór ożył scenicznie, jakby widmo Belwederu.

Dopiero po kilku minutach zjawiły się psy. Stare, astmatyczne wilczury ochryple oszczekiwały samochód. — Skrzypnęły ciężkie drzwi i Paweł wysunął się powoli z drżącą świecą, oprawną w srebrny lichtarz.

Wysiadłem, prostując z ulgą nogi po czterogodzinnej podróży. Paweł mamrotał sakramentalny frazes powitalny, kiwając starczą głową.

W obszernym hall'u zdjąłem szybko futro — nie troszcząc się już więcej ani o samochód (zresztą nie mój!) ani o szofera. Podkręciłem tlejącą naftową lampę i rzuciłem okiem na wieszadła. Nikogo nie było w Spławinie.

Po szerokich schodach pokrytych dywanem wszedłem na piętro; bibljoteka — salon — jadalnia — dopiero na samym końcu amfilady w gabinecie paliło się światło. Przez uchylone drzwi zobaczyłem refleks światła na szaro-złotej ramie portretu matki Hieronima i wibrującą smugę tytoniowego dymu.

Szedłem cicho po dywanach przez wielkie, mroczne pokoje. W tych samych miejscach, co zwykle, skrzypiała dębowa posadzka. Gdy przechodziłem przez jadalnię, przypomniał mi się portret Pusyny, który przed pięciu laty przegrał Hieronim w karty w Srokowie. Wielu tu było jeszcze Lampich i Bacciarellich.

Jak duch stanąłem w drzwiach gabinetu. Hieronim siedział przy okrągłym stole z papierosem w ręce. Na małem, staroświeckiem biurku mahoniowem, ustawionem w rogu. paliła się naftowa lampa pod zielonym abażurem. Pod piecem drzemał Trop, który zaszczycił mnie kilku kiwnięciami puszystego ogona.

Hieronim na mój widok uśmiechnął się blado, nie okazawszy najmniejszego zdziwienia. Podał mi w milczeniu rękę, a gdy usiadłem, podsunął w moim kierunku otwartą papierośnicę.

— Pojedziesz jutro do Drobycz? — zapytał po chwili.

— Tak. — Przenocuję u ciebie.

Poprawiłem się nerwowo w krześle Odczułem, że Hieronim długo już siedzi samotnie w tym gabinecie. Dzielił nas napięty, niespokojny nastrój. Przez chwilę żałowałem, że się tu zatrzymałem.

Uśmiechnąłem się zakłopotany.

— Hieronim?

W odpowiedzi spojrzał na mnie kłamliwie i obco. Zdaje się, że trzebaby było wielu słów, abyśmy się porozumieli.

Zapaliłem papierosa i dopiero teraz zauważyłem maszynkę czarnej kawy, stojącą na stoliku.

— Jakiż prezent przygotowałeś dla Meny? — zapytałem nagle, sam zdziwiony niewłaściwością tego zapytania.

Hieronim roześmiał się krótko

— Wspaniały! — Ofiaruję jej „Pegaza II", którego tylokrotnie chciała ode mnie odkupić.

Zdziwiłem się. — Jakże obcą wydała mi się ta literacka romantyka, potrącająca błazeństwa. Kiedyż skończy się to patetyczne teatralne widowisko, które ciągnie się już tu od pół wieku?

— Więc „Pegaza II" — powtórzyłem bezbarwnie.

Zamyśliłem się nad tym starym cyrkowym koniem. Hm.. dopasował się do nich wszystkich znakomicie. Różnił się tem od innych normalnych koni, że przez 10 lat biegał po arenie jednego z warszawskich cyrków i w takt starego strausowskiego walca wyrzucał rytmicznie sztywne nogi, potrząsając dumnie łbem. Był mlecznej maści i na przednich nogach nosił zwykle purpurowe bandaże. Hieronim odkupił go za poważną sumę. — W Spławinie „Pegaz II." marnował swe talenty. Kilkakrotnie podczas nocnych hulanek biegał po spławińskim salonie w takt walca, ku oburzeniu służby, a uciesze podchmielonej kompanji. Lecz były to czasy dobrej konjunktury. Obecnie „Pegaz" nudził się tygodniami w stajni. Zimą, gdy była dobra sanna, Hieronim lubił zaprzęgać go do małych petersburskich saneczek z srebrną siatką i kłusować w pojedynkę po leśnych drogach. „Pegaz II" należał do blagierskiego szychu, do tego romantykierskiego lamusu oryginalności, któremi z pasją otaczał się Hieronim.

Mówiono, że ich niejednokrotnie widziano w małych saneczkach, gdy mknęli przez zasłany śniegiem pejzaż w księżycową noc. Hieronima i Menę.

Tak. Mój przyjaciel był znawcą kobiet nielada! Teatralizował sobie życie w Spławinie. niczem Frycz na krakowskiej scenie.

— Więc tak. Ofiarujesz jej Pegaza — tak..

Hieronim dopił kieliszek koniaku i bez słowa wyszedł z gabinetu.

— Hm... — wzruszyłem ramionami.

Długo słyszałem oddalające się jego kroki. Przeszedł wolno przez jadalnię, zatrzymał się na chwilę w salonie — otworzył



— Jaśnie pan zechce o nas pamiętać...

drzwi do małego saloniku i przekręcił klucz w drzwiach swej ubieralni.

— Tak bez słowa... bez podania ręki...?

Spojrzałem na zegarek; dochodziła 10-ta. Ucichło. Patrzyłem przed siebie zamyślony. W muzealnym, statycznym spokoju wisiały na ścianach portrety. Panie w krynolinach — panowie przeważnie w francuskich strojach. Pod jeleniemi rogami zawieszony zegar od lat wskazywał trzecią. Na biurku stał rząd pożółkłych fotografij, na które nikt nie patrzył. Atrament w kryształowym kałamarzu dawno wysechł — nóż do przecinania papieru z słoniowej kości oprawnej w filigran czynił wrażenie starcze i pańskie.

Czułem się intruzem w tych minionych latach zeszłego stulecia. Nocą pałac spławiński czynił wrażenie zatopionego kawałka historji, na dnie najspokojniejszego z oceanów.

Powróciłem w myślach do Hieronima. Sądziłem, że coś powie o jutrzejszym ślubie pani Meny z pułkownikiem Larsonem. Ten Szwed dziwnie się będzie czuł zapewne na tej wyspie drobyckiej. Lecz cóż — był attaché, dyplomatą, cudzoziemcem — czyż to mało?

Obawiałem się „efektownej" tragedji. Tu obowiązywały przecież jeszcze kategorje myślenia z „Trędowatej". Ten romans pana Hieronima, ciągnący się z pięć lat, predysponowany był do tragicznego finału. Pani Mena była młodą wdową, pełną temperamentu i fantazji, niepodszytej ani głębią, ani inteligencją. Hieronim stanowił klasyczny typ wykształconego dyletanta, bezprogramowego romantyka, szlachetnego nieroba, na zawiłych ścieżkach intelektualizmu zabłąkanego filistra. Kochał sztukę, choć ją fałszywie pojmował, czytał współczesną literaturę — choć ostatnim dla niego zrozumiałym autorem był Weyssenhoff.

A poza tem wszystko działo się na tem terytorjum, stanowiącem rezerwat dziewiętnastego wieku. Tu wszyscy mówili prawdę, za wyjątkiem kalendarza, który wskazywał rok 1935.

— Dziwne?! — nikt nie podał mi kolacji, nie zatroszczył się o mnie.

Podniosłem się z fotelu i przeszedłem do jadalni. Na stole przygotowane było jedno nakrycie. Na półmisku czekała na mnie szynka z majonezem — obok pod kloszem sery, a na tacy medytowała karafka „nieśmiertelnego" koniaku, bez którego w Spławinie nic się nie działo. W kącie — skulony na krześle — drzemał stary Paweł, podobny do wielkiego dziadka do orzechów. Nie budząc starego sługi, usiadłem przy stole i, nalawszy sobie kieliszek koniaku, z apetytem zabrałem się do szynki.

Dziwacznie dźwięczy szkło kieliszka, gdy się spożywa samemu kolację przy stole na 24 osoby w jadalnej sali, w której prowadzićby można mazura w kilkanaście par. Ze ścian patrzyli na mnie szklanemi oczyma Puzynowie i Złotodruccy z bacciarellowskich portretów. W półmroku rysowała się miękko biel saskiej porcelany, zdobiącej wnętrza serwantek.

Cisza była niemal wyczuwalna dotykiem— spoista i statyczna. Bałem się głośniej odchrząknąć, aby nie budzić ech drzemiących w mrocznych kątach.

Z kieszonkową latarką elektryczną w ręce udałem się do małego pokoiku w prawem skrzydle, gdzie zwykle nocowałem. Z uczuciem ulgi zamknąłem za sobą drzwi. Zapaliłem świecę i zacząłem się szybko rozbierać. Pragnąłem jaknajprędzej znaleźć się w łóżku i przeczytać gazetę. Zasłoniwszy się dziennikiem, chciałem odszukać zwykłą codzienność, normalną powszedniość, którą zostawiłem w Krakowie. Nie można — u djabła — żyć długo w tym makabrycznym patetyzmie gabinetu woskowych figur. Po chwili odrzuciłem gazetę i zgasiłem światło. Nie mogłem jednak usnąć. Uświadomiłem sobie nagle, że Hieronim poprostu oszalał. Przecież nigdy się tak nie zachowywał. Byłem zdecydowany ubrać się spowrotem i pójść do niego, zaledwie jednak odrzuciłem koc, ogarnęło mnie przemożne zmęczenie.

— Tu wszystko jest potrochu zwarjowane — pomyślałem zniechęcony. Hieronim jest dziwakiem, idealnie sharmonizowanym z tłem spławińskiego pałacu.

Przewróciłem się nabok. Zdenerwowanie — coraz trudniejsze do opanowania — zaczęło potrząsać mną jak sitem. Boleśnie odczuwałem świadomość faktu, że mój normalny krytycyzm odchylił się, podobnie jak igła magnetyczna w sąsiedztwie żelaza i nie działa już niezawodnie. Zatraciłem odbjektywizm — wahałem się: czy Hieronim jest takim, jak zwykle bywa, a tylko mnie — pod wpływem ogólnego nastroju — wydaje się innym, czy też zachowanie jego istotnie zdradza pewne niepokojące objawy.

Zmęczony usnąłem wreszcie nad ranem, z niedopalonym papierosem w ręce.

* * *

Bardzo obco czułem się wśród tego wyfraczonego grona. Z pudeł i wynaftalinowanych kufrów wypłynęły na światło dzienne odwieczne mantylki, strusie pióra i gronostajowe etole, a z kas i schowków blade, nienoszone sznury pereł, pierścienie za duże lub przeciwnie z trudem na dzisiejszy wieczór wetknięte na palce.

Odbiegliśmy od siebie — drodzy sąsiedzi w staroświeckich frakach i w zarzutkach podbitych spłowiałym atłasem, z lat pańskich osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Nawet te gałki z przyżółkłej kości słoniowej na hebanowych laskach posiadają głęboką wymowę i komentują was milcząco.

Po drugim kieliszku starki, poprzedzonej dwoma kieliszkami tęgiego jarzębiaku i mnie łzy zakręciły się w oczach. Refren dalekiego dzieciństwa, młodości sielskiej i anielskiej, zapukał do zmiękczonego alkoholem sentymentu. Przy końcu obiadu posunąłem się nawet tak daleko, że na ogólne życzenie wzniosłem toast „kochajmy się"!

Muzyka zagrała poloneza. Wstaliśmy od stołu — rozpoczął się pański korowód taneczny po pięknym salonie drobyckim.

Po polonezie młodzież dziarskiemi okrzykami zażądała mazura. Ktoś tam zaprzeczył, protestował, lecz wkońcu — gdy muzyka zagrała — kto żyw porwał się z miejsca i po chwili niebywały łomot obcasów dobitnie świadczył o rozochoconych temperamentach.

Wycofałem się dyskretnie do przyległego saloniku na papierosa. Najchętniej byłbym siadł do auta i przeniósł się w normalne wymiary mego krakowskiego mieszkania Trzeba było jednak odczekać, odpić, no i odziewać weselisko pięknej pani Meny.

Miałem właśnie powrócić do salonu, gdy zadźwięczały szyby i równocześnie usłyszałem bliski strzał. Zawahałem się. Czyżby jakiegoś spóźnionego gościa furman anonsował strzelaniem z bata? Z salonu dobiegały rzewne dźwięki straussowskiego walca. — Otwarłem okno i wyjrzałem. Po chwili, gdy wzrok mój przywykł już do mroku, zauważyłem Pegaza wprzęgniętego w małe saneczki. Cyrkowy koń biegł wolno wokół gazonu, w takt muzyki, która dolatywała z otwartego okna balowej sali.

Zeszedłem nadół i, narzuciwszy futro, wybiegłem na podjazd. Pegaz II. kłusował idjotycznym walcowym krokiem wokół gazonu. Nagle zakotłowało mi pod czaszką potworne przeczucie. Podszedłem kilka kroków naprzeciw sanek. W tym samym momencie przestała grać muzyka i Pegaz — jak nakręcona zabawka — zatrzymał się w miejscu. Z zaciśniętem gardłem podszedłem bliżej. W małych petersburskich saneczkach stygły zwłoki Hieronima. W prawej dłoni trzymał mały rewolwer. Z ust sączył się wąski strumyczek krwi.

— Das Lied ist aus — szepnąłem po chwili. — Tak się płaci — panie Hieronimie — za gest, który już kilka mil za Drobyczem wyda się śmiesznem hochsztaplerstwem. — I jeszcze w tych pretensjonalnych saneczkach, w towarzystwie Pegaza, który tylko tobie wydawał się pegazem, a w rzeczywistości jest starą, cyrkową szkapą. Całe życie mieszałeś cyrk z poezją — Hieronimie! Miałem łzy w oczach.

Gdy trzeciego dnia wyjeżdżałem z Spławina, stary Paweł, otulając mi derką nogi, wymamrotał jak zwykle:

— Jaśnie pan raczy o nas pamiętać...

— O nas? — powtórzyłem smutno.

Stary patrzył na mnie bezmyślnemi oczyma i trząsł siwą głową. Przecież to także tylko gest i słowa bez pokrycia.

Po czterech godzinach ujrzałem łunę elektrycznych świateł nad Krakowem.

Światło

WSZYSTKIE ZDJĘCIA
W. GARTENBERG

I PRZESTRZEŃ W MIESZKANIU

Meblarstwo współczesne, szukające nowych dróg, dostosowanych do obecnych warunków życia, posiada w osobie naszego rodaka p. W. Gartenberga, przebywającego częścią w Wiedniu i Krakowie, nadwyraz oryginalnego i zdolnego pioniera nowych linij i nowych koncepcyj urządzenia wnętrza. Poniżej zamieszczone uwagi i ilustracje dadzą naszym Czytelnikom wyobrażenie, jak pięknie i stosunkowo tanio można urządzić swe mieszkanie.

* * *

Rewolucja i przemiana w architekturze wnętrza i w meblarstwie nowoczesnem przypada na pierwsze lata powojenne. Rok za rokiem z rozwojem budownictwa nowoczesnego, dochodz i architektura wnętrz do jasnych, celowych, wygodnych i bezpretensjonalnych mebli.

Jeszcze nie we wszystkich krajach i mało wytwórni meblowych rozumie zadania meblarstwa.

Styl nowoczesny krystalizuje się z elementów mebli angielskich i wiedeńskich Biedermeiera, unikając „słodyczy" i symetrji tego ostatniego. Wszelka konwencjonalność zatracą się, natomiast jedynie miarodajny jest tu cel, odpowiednia miara i względy praktyczne, które bierze pod uwagę projektujpcy



Pokój mieszkalny z wygodnym tapczanem z masywnego orzechu, krytym zielonkawym atłasem. Komoda z ciemnym fornirem.



Wnętrze pokoju mieszkalnego z meblami lakierowanemi w kolorze ciemno-koralowym na stalowych nogach, krytemi materjałem jedwabnym o charakterze samodziałowym.



Buduar damski w kolorach pastelowych. Lampa odznacza się nowoczesną linją o wielkiej oryginalności.

Na prawo: Kącik bridżowy w pokoju mieszkalnym posiada meble o wytwornym stylu przypominającym angielski „chippendale".

meble. Architekt wnętrz bierze na siebie zadanie dobrego, „szykownego" krawca i wedle kształtu, zwyczajów klienta i wymagań, komponuje meble i ustawia je. Po tak zw. miarze przystępuje się do wyboru materjałów. Tu zaś ograniczenia niema. Od fornirów centralnej Afryki, Indji do skór norweskich, od kości słoniowej do skór brazylijskich gadów sięga skala nowoczesna. — Do jednego pokoju używa się więcej odmian fornirów. Każdy fotel o różnych rozmiarach pokrywa się od samodziału chłopskiego do skór cielęcych z włosem i różnych atłasów. Ciężkich mebli, monumentalnych kredensów nie tworzy się obecnie, jakżeby się je „windowało" na któreś tam piętro w nowoczesnym domu? Monotonność zanika, następuje ekonomizacja powierzchni. Łagodna polichromja





Fragment pokoju sypialnego. Ściany w kolorze jasno-niebieskim, meble o lekko polerowanej powierzchni z różnego rodzaju forniru.



Stoliczek toaletowy w damskim buduarze.



Praktyczny tapczan z szufladami na pościel z makasy i gruszki, pokrycie z niebieskiego jedwabiu.

materjałów na tle jasnych ścian, bez ornamentów, to dzisiejszy koloryt wnętrza. Symetryczna architektura zanika. Zwłaszcza część jasna pokoju zostaje użyta jako pomieszczenie dla mebli, gdyż człowiek współczesny szuka wszędzie światła. Tapczany, niskie stoły, fotele, foteliki niby w nieporządku rozrzucone, a przecież kolorem i wagą tak są dobrane, że powstaje zupełnie sharmonizowany akord wnętrza. Kwiaty cięte w wielkich kulach szklanych, w wazonach całe drzewa, aż do sufitu nieraz sięgające, mają nam przyrodę przypominać w kamiennym uchwycie domu. Ręcznie kute metalowe sprzęty, dęte szkło, prymitywne tkaniny uzupełniają otoczenie nowoczesnego człowieka, aby conajmniej w godzinach odpoczynku domowego mógł zapomnieć o zmechanizowaniu życia współczesnego.

Im mniej mieszkanie i ściany jego są obładowane, tem swobodniej się oddycha i tem wytworniejsza wytwarza się atmosfera.

OLD ENGLAND

CIEKAWOSTKI SREDNIOWIECZNE W XX WIEKU.

Zdaje się, że to w swej powieści „Waverley" sir Walter Scott opowiada o owym angielskim baronecie, dziedziczącym na zamku Breadvardine, który będąc ostatnim z rodu ma wielki kłopot ze swoją córką dla zupełnie specjalnych powodów. W rodzinie bowiem Bredvardine istnieje od wieków przywilej, że głowa jej przy koronacji króla angielskiego zakłada mu ostrogi. Cóż więc stanie się, gdy zabraknie reprezentantów męskich rodziny i zaszczytna ta skądinąd funkcja przypadnie jego córce, co przecież bynajmniej nie licuje ze stanowiskiem kobiety?

Drobny ten obrazek jakże charakterystycznym jest dla Anglji, przechowującej prastare tradycje z niebywałym kultem! Każda z trzech części Zjednoczonego Królestwa, tj. Anglja właściwa, Szkocja i Irlandja posiada takie swoje odwieczne zwyczaje, które dla umysłu człowieka kontynentalnego są conajmniej niezrozumiałe, jeżeli nie śmieszne. Ale przecież nawet pomniejsze terytorja Anglji, jak naprzykład Księstwo Walijskie, wyspa Wight itd. posiadają znów odmienne tradycje i zwyczaje.

Oto sędziowie angielscy sprawują swe funkcje, przywdziewając staroświeckie długie peruki, a angielscy parowie przy uroczystościach państwowych przyoblekają się w płaszcze purpurowe i korony, znamionujące ich godność. Uczniowie znanych angielskich gimnazjów ubierają się „jak starzy", noszą cylindry i krótkie marynarki, przypominające frak tylko bez połów.

A cóż dopiero powiedzieć o takich uroczystościach, jak wybór burmistrza Londynu czyli lorda-mayora, który ubiera się w powłóczysty płaszcz, z olbrzymim futrzanym kołnierzem, a na to wszystko wkłada duży, złoty łańcuch, na głowę zaś czarny kapelusz 17-wieczny z czarnemi piórami! W budynku cechowym, „guildhall" odbywa się wtedy wręczenie insygniów burmistrzowskich przez ustępującego lorda-mayora swemu następcy. Wszystko to odbywa się z niebywałą pompą i wielką powagą, a żadnemu z tych nadwyraz mądrych, doświadczonych i praktycznych zresztą ludzi nie przyjdzie na myśl uważać tych ceremonij za przeżytek z dawnych czasów. Ale oto spotkać się możemy z jeszcze innym obrazkiem, w którym burmistrz przedmieścia Londynu, Hammersmith gra główną rolę. Gastronomja idzie tutaj ręka w rękę z tradycją, gdyż burmistrz-mayor własnoręcznie „zarabia" ciasto na pudding świąteczny. Z ciasta tego wypieka się następnie tysiące małych babek, które rozsyła się na wszystkie krańce olbrzymiego imperjum, wszędzie tam, gdzie mieszkają poddani Jego Królewskiej Brytyj.



Lord-mayor sir Percy Vincent w pozłocistej karecie udaje się do „guildhall".

(Ciąg dalszy na str. 14-ej).

JAK W BAJCE... ***Mała Marysia przestraszyła się nieco, spotkawszy w lesie dużego, czarnego „borzoja", gdyż przypomniała sobie bajeczkę o Czerwonym Kapturku i o wilku. Wkrótce jednak oboje stali się „starymi" przyjaciółmi. (Fot. Behm).***



skiej Mości. Lecz nie jesteśmy u kresu naj rozmaitszych oryginalnych zwyczajów angielskich. Rozwiązanie parlamentu odczytywane jest z królewskiego manifestu na najważniejszych miejscach Londynu, a przedewszystkiem przed londyńską giełdą przez oficjalnego „wywoływacza“ — common cryer — p. W. T. Bostona. Oczywiście, że ów „wywoływacz“ lub herold ubrany jest odpowiednio w atłasowy czarny strój, z koronkami u rękawów, pięknym żabotem i peruką.

Pod względem tych dziwacznych nieco tradycyj Szkocja wiedzie bodaj-że prym. Ciekawy ten kraj, tak bogato pobłogosławiony górami i uroczyskami, zachował przecież do dziś dnia swą organizację klanową, tj. strukturę społeczną, sięgającą najwcześniejszych wieków swego istnienia. Jak wiadomo, klany szkockie posiadają jako „signum specificum“ odwieczne swoje tartany, tj. powłóczyste zarzutki, płaszczę, o odrębnych, zależnie od klanów, deseni. W maju b. r. wielkiem wydarzeniem w całej Szkocji, ba, nawet w całej Anglji był zjazd członków klanu Maclean z okazji 100-letnich urodzin głowy tego klanu sir Fitz Roy Donalda Maclean of Duart. Uroczystość rozwinęła się w sposób niebywale wspaniały w zamku Duart przy udziale kilku setek gości, członków klanu. O wielkości jego świadczy fakt, że w samej Szkocji żyje przeszło 15.000 Macleanów, a w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych przeszło 20.000, z których wielu nosi oczywiście inne nazwiska, mimo to pamiętając o swojej przynależności klanowej. Nie obeszło się oczywiście bez typowej orkiestry, złożonej z kobziarzy-górali, oraz olbrzymiego tortu, w którym tkwiło sto świec, symbolizujących lata sędziwego szefa klanu.

A nie należy zapominać o tych licznych nadwyraz ciekawych przywilejach angielskich rodzin, sięgających nieraz czasów podboju normandzkiego! Rodzina książąt of St. Albans piastuje od wieków urząd dworski „wielkiego sokolnika“ Zjednoczonego Królestwa. W roku ub. umarł właśnie Karol Wiktor Aubrey de Vere Beauclerk, jedenasty książę of St. Albans, któremu przysługiwało prawo jechania konno lub w powozie drogą Rotten Row, co zasadniczo dozwolone jest tylko członkom domu królewskiego. Inny znów przywilej przysługuje rodzinie Grieve Thorburn. Gdy bowiem przez posiadłości jej Glenormiston przejeżdża król angielski, każdorazowy właściciel dóbr musi mu wręczyć.. jedną czerwoną różę!

Mało chyba jest krajów, gdzie uroczystości rodzinne lub publiczne odbywają się z równym przepychem, a co najwięcej znaczy, z równym entuzjazmem, jak w Anglji. Z jednej strony, jeżeli chodzi o życie domowe, panuje przy tem wszystkiem wielka prostota i byle co wywołuje ogromną radość. Oto naprzykład w okresie świąt Bożego Narodzenia zawiesza się w drzwiach gałązkę jemioły, która w tym oryginalnym kraju różnych ceremoniałów i przywilejów, młodym ludziom i rówieśniczkom ich pozwala bezkarnie się pocałować właśnie pod tą jemiołą. Zupełnie inny ton panuje oczywiście, gdy chodzi o przyjęcia oficjalne, które odznaczają się wielką powagą, ale nie sztucznością, przepychem, lecz równocześnie brakiem cech teatralnych, które, jakby się łatwo mogło zdawać, muszą wodzić prym w tego rodzaju imprezach. Wszystkie angielskie ordery, zacząwszy od orderu Podwiązki, zwanego dla swej tradycji i dawności „the most distinguished Order of the Garter“, jak również i inne, np. order Ostu, order Łaźni ,order śp. Patryka, order św. Jana Jerozolimskiego, order Korony Indyj itd., posiadają swe własne stroje, oraz dnie, w których kawalerowie orderu obchodzą uroczyście pamiątkę jego założenia. Najbardziej ozdobny jest strój kawalerów orderu Podwiązki, składający się z niebieskiego jedwabnego płaszcza, z wyhaftowanemi emblematami orderu, stroju z XVIII w., z białego atłasu, kapelusza z piórami, białych pończoch i lakierków. Nadawanie tego odznaczenia odbywa się w jednej z sal zamku królewskiego.

Od czasu do czasu podnoszą się oczywiście głosy krytyki tych różnych instytucyj, co jednak nie ma większego wpływu na ustalone na te sprawy poglądy ogółu. Przeciwnie, Anglicy są dumni ze swej przeszłości i swego przywiązania do form, które w ich wypadku nie są bynajmniej bezdusznym ceremonjałem, lecz zrozumiałym językiem symbolicznym. Przecież dosyć dobitnie wyraził to Oskar Wilde w swojej nowelce „Duchy z Canterville“, gdzie przedstawia Amerykanów, nabywców starożytnego zamku szkockiego, pozbawionych zupełnie zrozumienia dla angielskiej przeszłości. Realistyczne poglądy na te sprawy synów nowego świata powodują, że nawet upiór „urzędujący“ w zamku niema poprostu... słów oburzenia i uznaje się za pokonanego.

Jest rzeczą nadwyraz ciekawą, że wszystkie te zwyczaje nie są bynajmniej jakiemiś „naciąganemi“ formalnościami, lecz wypływają z bieżącego życia, są traktowane poważnie i w dalszym ciągu, dziś nawet, rodzą się nowe. Właśnie te odwieczne zwyczaje charakteryzują najlepiej bodaj usposobienie Anglików, tak odmienne od charakteru innych narodów. Oczywiście, że przy tych wszystkich starych tradycjach panuje pełna „współczesność“ psychologiczna u tego wielkiego narodu, który w sposób zupełnie swoisty umie łączyć ceremonjały średniowieczne z postępem.

Jan Maleszewski.



Uroczysta chwila wręczenia olbrzymiego berła przez ustępującego lorda-mayora Londynu swemu następcy.



Proklamacja królewska odczytywana jest we wszystkich ważniejszych miejscach stolicy, przyczem obowiązuje tradycyjny strój i odpowiednia „pompa“ urzędowa.



Na lewo: Sir Claude Schuster, pieczętarz korony brytyjskiej wyciska na królewskiej proklamacji rozwiązującej parlament wielką pieczęć zapomocą prasy.



Burmistrz Hammersmith bierze udział w mieszaniu ciasta przeznaczonego na wypiek „X-mas pudding“.



Dobre „celowanie" w kulę bilardową wymaga od gracza dużego zastanowienia.

WOJNA NA ZIELONEM SUKNIE

Czasy powojenne przyniosły znaczne osłabienie zainteresowania się ogółu bilardem Dawniej w każdej kawiarni znajdowały się liczne stoły bilardowe, dzisiaj zaś jedynie w kilku lokalach większych miast kultywuje się tę grę.

Bilard zasadniczo sportem nie jest... Gdybyśmy bowiem dali właściwą definicję sportu, to trudno byłoby postawć grę w karambola narówni z lekką atletyką czy tenisem. Jeżeli przyjmiemy, że sport jest ćwiczeniem cielesnem człowieka, rozwijacem jego walory fizyczne, ale wymagającem także niejednych zalet psychicznych, jak zimnej krwi, ambicji, zmysłu kombinacyjnego itd., to stwierdzić musimy, że bilard nie posiada tej zasadniczej dodatniej cechy wszystkich sportów, t. j. nie pomaga człowiekowi w fizycznym rozwoju. Przeciwnie nawet, przebywanie w zadymionej sali bilardowej można uważać wprost za szkodliwe. To samo możnaby zresztą powiedzieć o ping-pongu, wszyscy jednak zwolennicy celuloidowej piłeczki byliby przecież oburzeni, gdyby ich nie zaliczało się do sportowców. Obie te gry, wymagające przedewszystkiem zręczności jednej tylko ręki człowieka, możemy uważać tylko częściowo za sporty i to zajmujące w ich hierarchji szary koniec.

Bilard został wynaleziony we Włoszech i stamtąd poprzez Francję rozpowszechnił się na całym świecie. Obecnie istnieją najrozmaitsze rodzaje gry w bilard, ale jedynie „francuska" gra, czyli gra w karambola zasługuje na uwagę, gdyż inne gry czy to w „kręgielki" lub „piramidę" są niejako „zwyrodnieniem" pierwotnego bilardu.

Zasady gry w bilard są niesłychanie proste, gdyż polega ona na tem, aby własną bilę (kulę) uderzyć w ten sposób, aby dotknęła obu pozostałych. Pomyślne wykonanie uderzenia daje prawo do powtarzania go tak długo, aż się nie chybi „karambola". Od słowa do wykonania jest jednak bardzo dadeka droga i trzeba mieć rzeczywiście talent, aby dojść do pewnych wyników. „Włoska" gra, w której chodzi o to tylko, aby wszystkie trzy bile się poruszały lub „amerykańska", gdzie się gra czteroma kulami, okazały się zbyt łatwemi lub, jak ta druga, skomplikowaną i zostały zarzucone

Technika gry w karambola, na opisanie której potrzeba całej broszury, wymaga opanowania fałszów, gry dołem i górą bili oraz gry z trzymanym pionowo kijem t. zw. „massé". „Taktyka" w bilardzie, jeżeli możnaby to tak nazwać, polega na dokładnem obliczeniu, w którem miejscu zatrzymają się wszystkie kule po uderzeniu i na stosowaniu takiej gry, aby następna pozycja była jak najdogodniejsza do zrobienia karambola. Z końcem XIX wieku wynaleziono w Ameryce sposób gry w jednej szczególnej pozycji, która powtarza się w nieskończoność, a Niemiec Hugo Kerkau, który ten system udoskonalił, osiągnął w 1901 r. rekord światowy, wynoszący 7156 karamboli.

Wynalezienie serji Kerkaua doprowadziło zawody bilardowe do absurdu, ponieważ musiano grać mecze do 20000 karamboli ciągnące się tygodniami. Postanowiono więc uniemożliwić stosowanie jej przez podzielenie bilardu na 9 pól. Przciągając wzdłuż linje w odległości 30 lub 45 cm, zostają utworzone te pola i na każdem prócz wewnętrznego można zrobić jedynie 1 lub 2 karambole, a potem którakolwiek z kul musi to pole opuścić (po przebiegnięciu innego pola może zresztą powrócić na dawne). Gra taka nazywa się partją zamkniętą: „cadre" i jest zawsze stosowana na poważniejszych zawodach.

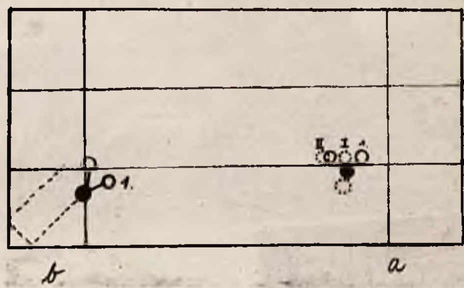
Schemat nasz przedstawia właśnie bilard podzielony na 9 części; jedyny sposób uzyskania większej serji jest możliwy przy nast. ustawieniu bil: a. po pierwszem uderzeniu kula czerwona posuwa się nieznacznie w stronę bandy, a ponieważ bila I jest zagrana nieco zdołu z małym prawym fałszem zatrzymuje się po trafieniu białej. Bile zajmują kropkowane pola i następuje drugie uderzenie, które zagrywa się nast.: bila 1 uderzona dołem, trafia czerwoną, która po odbiciu od bandy dotyka jej znowu i popycha w stronę bili II tak, że wszystkie kule zajmują piewotną pozycję. Wykonanie tej serji jest jednak tak trudne, że rekord światowy Kerkaua z r. 1911 przy ograniczeniu robienia tylko 1 karambola w zewnętrznych polach wynosi 155. Ogromnie trudnem jest objechanie kąta b., przy którym musi się kula 1 cofnąć od czerwonej, a ta może tylko przebiec kreskowaną linję.

Zagranicą bilard cieszy się znacznie większem powodzeniem aniżeli w Polsce. Słynne są tak zwane „akademje bilardowe" w Paryżu, Wiedniu i Berlinie, gdzie zawodowi „mistrzowie" kształcą adeptów tej pięknej gry. Kolosalny rozwój sportów zimowych odciąga obecnie naturalnie całą młodzież, ale bilard jest właśnie grą, w której ludzie „wycofani" gdzieindziej spowodu wieku, jako zawodnicy święcą największe sukcesy. A że sukcesy te znajdują sprawiedliwe uznanie władz ogólno sportowych np. w Niemczech, tego dowodzi fakt, iż kilka lat temu honorową odznakę Niemieckiego Związku Związków Sportowych przyznano nietylko słynnym tenisistom: Cilly Aussem i Prennowi, ale i amatorskiemu mistrzowi III Rzeszy w bilardzie — Poensgenowi.

Również i kobiety uprawiają tę grę ze zamiłowaniem — ale nie u nas. I rzeczywiście: bilard nie wymaga ani zbytniej siły fizycznej ani wykonywania przesadnych ruchów, nie mówiąc już o brutalnej walce wręcz — jest więc sportem najzupełniej dla kobiet dostępnym. Angielskie dzienniki poświęcają zawsze w swym dziale sportowym wiele miejsca na sprawozdania z tych zawodów, a ostatnio rozegrane kobiece mistrzostwa Anglji w bilardzie wykazały nietylko wysoki poziom techniczny, ale i ogromne zamiłowanie publiczności.

Poza regularnemi mistrzostwami odbywają się gry pokazowe i turnieje, w których reguły gry są ogromnie obostrzone, a więc wolno uderzać swą kulą najpierw tylko w czerwoną bilę, albo musi się grać jedynie od „bandy", inna znowuż odmiana to mecze, gdzie tylko liczy się karambole, zapowiedziane i gdzie musi się grać samemi „tryplami" lub „kwartami". Te właśnie partje są może nawet najbardziej emocjonujące, gdyż widzi się uderzenia niezmiernie skomplikowane.

Schemat bilardu podzielonego na dziewięć części wykazuje drogi przebyte przez poszczególne bile.



Zawodowi mistrzowie produkują się umiejętnością wyrzucania swej kuli poza bilard, trafiając równocześnie kulę leżącą na ziemi, wykonywaniem karambola, pomimo, że bilard jest zastawiony kilkunastu szklankami i t. p., są to jednak już tylko sztuczki „cyrkowe". W każdym razie ambicją każdego zawodnika jest posiadać i te sztuczki w swoim repertuarze.

W Polsce bilard stoi na bardzo niskim poziomie. Jedynym graczem na europejską miarę jest Krakowianin Pelc, zwycięzca zeszłorocznego turnieju u Lourse'a w Warszawie. Brak organizacji i poważniejszych zawodów daje się dotkliwie odczuć. Turnieje organizowane przez krakowską YMCA corocznie w marcu gromadzą stale kilkudziesięciu uczestników, wykazują jednak ogromne braki u zwycięzców.

A więc: bilardziści polscy wszyskich stanów i wszystkich dzielnic łączcie się! Utwórzcie na wzór zagranicy swój własny związek; propagujce tę tak piękną grę, organizujcie zawody, mistrzostwa: unormujcie ściśle reguły gry, a bez najmniejszej wątpliwości powstaną we wszystkich miastach kluby o setkach członków i zwolenników.

W. Horain.

Polska, będąc tak geograficznem jak kulturalnem przejściem między wschodem a zachodem, posiada cechy jakich trudnoby znaleźć w innym kraju. I to nietylko w zakresie psychologji i indywidualności jednostek, ale też pod względem krajobrazowym. Pamiętajmy o tem, że od południowych krańców Rzeczypospolitej, posiadających niezmiernie bogatą wegetację z winogronami i soczystemi brzoskwiniami włącznie, aż po morze, lesiste okolice Wileńszczyzny, a z drugiej znów strony od dzikich, tajemniczych Karpat, w których nierzadko z niedźwiedziem oko w oko spotkać się można aż po Bałtyk, posiadamy całą gamę piękna natury, gamę dźwięczącą wszelkiemi głosami zarówno puszczy, lasu, łąki, stepu, jak też głosami syren fabrycznych i okrętowych. Skala to bezwątpienia nadwyraz bogata i urozmaicona. Podobnie zresztą jak i natura, ułożyły się stosunki etniczne. Na polskich ziemiach przecież spotykamy się

Piękno ziem polskich



Polesie ze swemi licznemi rzekami i moczarami stanowi niejako rezerwat przyrody.



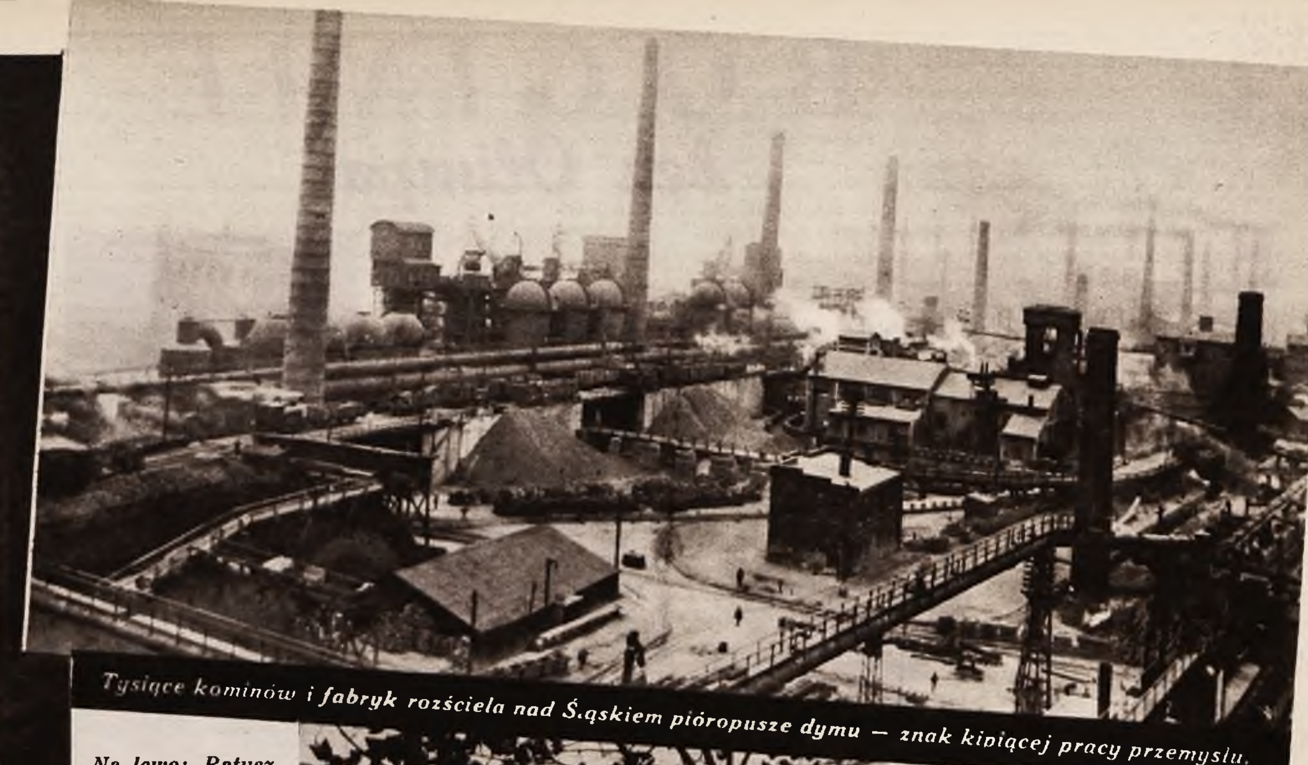
Na prawo: Tatry polskie posiadają bezwątpienia najpiękniejsze krajobrazy w Europie środkowej.
Fot. Dr. Wieczorek Zakopane.





Na lewo: Ratusz poznański duma pełen powagi na Starem Mieście.
Fot. „As".

Na prawo: Coraz częściej w centrum Warszawy wyrastają olbrzymie domy świadczące o rozwoju naszej stolicy.
Fot. Cyryna-Doge Warszawa.



Tysiące kominów i fabryk rościela nad Śląskiem pióropusze dymu — znak kipiącej pracy przemysłu.



Fragment Sukiennic krakowskich, na ... spogląda najlepszy reżyser — księżyc Fot. „As".





Gdynia, „oczko w głowie" współczesnej Polski nabiera coraz większego znaczenia w handlu światowym.
Fot. „As".

z rdzenną kulturą polską, jej reprezentantami po wsiach w typie króla Piasta, ale wśród klejnotów korony, zdobiącej głowę Białego Orła znajdujemy też pierwiastki ruskie, ba! tatarskie i węgierskie. Wszystko to jednak zespoliło się w jedną wielką kulturę polską, nad którą dominuje genjusz polski, co chłonąc w siebie nawet obce pierwiastki nigdy nie przestaje być oryginalnym, nadając im nowy swoisty wyraz.

Gdy spojrzymy na mapę sprzed rozbiorów, zobaczymy jak dużo jednak ziem stanowiących integralną część zasięgu naszej kultury i naszej historji odpadło od ciała Rzeczypospolitej. Ale i to co pozostało pod polskiem władaniem jest tak bogate, różnorodne, pod każdym względem ciekawe, że śmiało powiedzieć można, iż żaden nieomal kraj nie posiada podobnie bogatych pod względem zewnętrznej i wewnętrznej charakterystyki ziem.

Oto poważne i surowe kontury Tatr, a kilka godzin drogi dzieli nas tylko od nowoczesnych miast-olbrzymów, o dymiących kominach i licznych maszynach, będących sercem przemysłu. Tu w Tatrach lśni biały śnieg, tam znów skrzy się czarny węgiel. Stolica nasza obok wspaniałych swych zabytków rozbudowuje się w tempie europejskiem, wytwarzając nowy, ale swoisty charakter. A cóż dopiero powiedzieć o Krakowie, tej perle naszej sztuki i architektury? Każdy kamień przemawia serdecznym głosem do serca polskiego. Jak gdyby „pendant" do tych starych murów tworzy Gdynia, miasto nowoczesne. Przyjrzyjmy się lepiej i bliżej, a zobaczymy jak bogatą jest ziemia polska.

S. G. M

BOGINIE
bez Olimpu.

Byłem wtedy młodym chłopcem, gdy spotykałem się w różnych zagranicznych pismach ilustrowanych z portretami słynnej swego czasu artystki, Otero, zwanej popularnie „La belle Otero". Mówiono o niej wtedy dużo, zajmowano się najdrobniejszemi szczegółami jej życia i twierdzono, że posiada najpiękniejsze perły na świecie. Zainteresowanie nią przeradzało się poprostu w manję — przecież każda epoka musi posiadać swoje bożyszcze, osobę, która z tych czy innych względów symbolizuje niejako daną chwilę. Nietrwałe jednak są te efemeryczne sławy. Również znaną, a nieomal sławniejszą była inna artystka, występująca w teatrach stolic europejskich Cléo de Mérode, pochodząca ze znanej arystokratycznej rodziny belgijskiej Lata przedwojenne cechowała jeszcze charakterystyczna psychologja, uważająca, że występowanie w teatrze jest w wysokim stopniu „shocking". Nic więc dziwnego, że rodzina wyrzekła się Cléo i nie chciała o niej słyszeć nawet wtedy, gdy pisma europejskie „zrobiły" ją kochanką króla Leopolda II belgijskiego. Sędziwy monarcha zasłużył w ten sposób u karykaturzystów europejskich na przydomek „Cléopolda", którego nazywano ponadto „le roi des Belges et des belles". Słynna była też fryzura Cléo de Mérode, to też stworzyła ona swój własny „styl".



Gaby Deslys w „uroczej" sukni lat przedwojennych.



Cléo de Mérode uchodząca przed wojną za idealną piękność



„La belle Otero" znana tancerka hiszpańska.



Wiecznie młoda Mistinguett, gwiazda paryskich music-hallów

Któż nie słyszał o właścicielce najpiękniejszych nóg świata i tajemnicy wiecznej młodości, Mistinguett? Już grubo przed wojną zainteresowanie Paryża kręciło się koło tej artystki, znanej z wesołości i tego, co Francuz nazywa w swoistym żargonie „je m'enfichisme". Mistinguett jest jedną z tych niewielu artystek, które „przetrwały" zmianę gustów u publiczności, pozostając w dalszym ciągu w sercu najbardziej płochego stworzenia, jakim jest bowalec teatralny.

Istotnie z chwilą rozwoju kinematografji, jak również zmienionych warunków życia, a eo ipso mentalności, liczne dawne bóstwa „padły", usuwając się w cień, a nowe, pochodzenia przeważnie „ekranowego" zajęły ich miejsca. Do tego zastępu gwiazd przedwojennych należała oczywiście również Gaby Deslys, którą Paryż fetował na równi z innemi miastami europejskiemi. Znany całemu światu romans jej z królem Manoelem portugalskim dodał przystojnej tej osóbce swoistego czaru i blasku.

Czasy powojenne innych znów doczekały się gwiazd, królujących na fikcyjnym Olimpie, którego zręby stanowią dekoracje teatralne, a ziemię deski, oświetlone światłem rampy. Energicznym atakiem na serca miłośników tańca odniosła zwycięstwo czekoladowa Józefina Baker, rozporządzająca poza parą ślicznych nóżek, miłym uśmiechem, a nadewszystko tym czarem egzotyki, który zawsze „bierze". Oczywiście, że i ona znudziła się już Paryżowi i Londynowi i musiała szukać nowych, niewyeksploatowanych jeszcze terenów.

Mógłby ktoś nam, ludziom współczesnym, zarzucić, że w afektach naszych podobni jesteśmy do dzieci, które „zapaliwszy się" do jakiejś zabawki, wkrótce ją rzucają. Lecz czyż kiedykolwiek było inaczej? Wszak również i nasi dziadowie nie przestawali „szaleć na widok Camargo, Catalani, Racheli, Loli, Montez i wielu innych. Jest to widocznie jakaś potrzeba czysto ludzka, aby mieć swoje bożyszcza zarówno w zakresie zagadnień poważnych, jak też bardziej błahych i lekkich.

Jak dalece sięga wpływ tych „wielkości", wystarczy przypomnieć, że po śmierci Valentina wiele kobiet odbierało sobie życie z tęsknoty za nim! Czyż można dalej posunąć entuzjazm?

Jan Godziemba.



Ukazanie się Józefiny Baker na scenach paryskich nastąpiło w chwili największego „nasilenia" tańców o podkładzie egzotycznym — stąd pochodziło jej powodzenie.

JIU-JITSU

EGZOTYCZNA SAMOOBRONA

Jiu-jitsu uważa się za wysoką szkołę samoobrony pozwalającą słabemu obronić się przed silniejszym napastnikiem. Z pewnem zastrzeżeniem definicja ta jest słuszna. Skoro się zna pewne chwyty, np. lekkie uderzenie wyciągniętym palcem lub też płaskim kantem ręki, wtajemniczony w te arkana będzie się czuł pewny przed wszelkim napadem. Tę samą pewność daje sztuka chwytania ręki lub nogi w ten sposób, aby one traciły natychmiast swą siłę. Mistrzowie jiu-jitsu znają w całości 12 takich „żelaznych“ chwytów i równą ilość niebezpiecznych uderzeń. Oczywiście, że sukces stosowania tych chwytów zależy również od tego, czy przeciwnik je zna i od tego aby nie stosował kontrchwytów.

Zasadniczo jiu-jitsu jest rodzajem walki jak np. boks, tylko, że w tym wypadku wszystkie chwyty i uderzenia, których nie można stosować w boksie są dozwolone, a nawet w pewnym stopniu stanowią cel jiu-jitsu. Wobec tego jednak, że również strona przeciwna stosować może te same chwyty, zwycięża oczywiście ten, który lepiej zna tę sztukę, posiadając odpowiednie uzdolnienie.



Postawa zasadnicza w japońskiem jiu-jitsu.



Również słynny Dempsey brał udział w walce systemu jiu-jitsu.

Nazwę jiu-jitsu można najlepiej przetłumaczyć przez „znajomość muskułów“. Punktem kulminacyjnym niejako walki japońskiej jest uzyskanie największego praktycznego efektu przy zastosowaniu najmniejszego nakładu sił i przy wykorzystaniu siły przeciwnika jako broni na niego samego. Mistrzowi jiu-jitsu stoi do dyspozycji 250 chwytów i uderzeń, które w naszych oczach wydawać się będą brutalnemi, prawdziwy jednak Japończyk ma nerwy znacznie od nas silniejsze. Jest rzeczą nad wyraz wątpliwą, czy poza Japonją demonstrowano kiedykolwiek i zastosowano choćby 1/10 tych chwytów. Około 100 uderzeń znanych jest jedynie japońskim atletom, którzy je zachowują w ścisłej tajemnicy. Z 12 uderzeń śmiertelnych, 10 można zobaczyć jedynie w samej Japonji. Jeden z tych chwytów polega na uderzeniu zewnętrzną stroną ręki, która przeszła trening w postaci długiego uderzania o deskę, w nasadę nosa. Drugie uderzenie polega na uderzeniu wyciągniętymi i sztywnemi palcami przy wyciągniętej ręce w okolicę ucha poniżej jego końca. Trzeci wkońcu na uderzeniu kantem ręki w kark, poniżej czaszki.

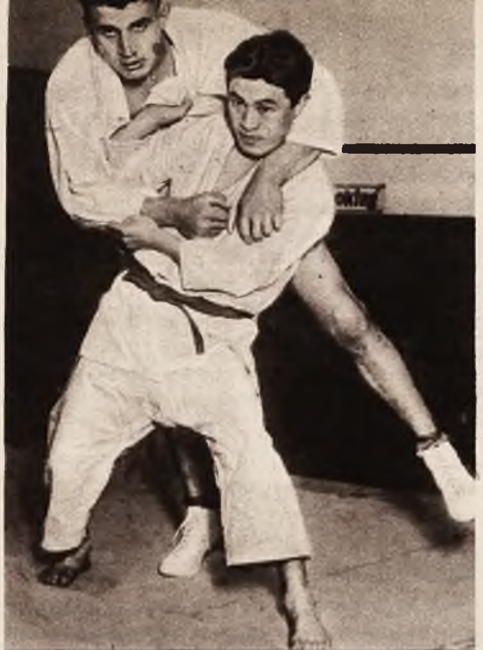
Pomimo iż jiu-jitsu wydaje się nam brutalnem, to jednak i ono posiada swoje reguły, a metoda walki dokładnie jest obmyślona we wszystkich szczegółach. Aby dobrze zrozumieć jiu jitsu należy znać zasadnicze podstawy równowagi, działanie hebli, jak również znajomość anatomji ciała.

W pozycji zasadniczej walczący chwyta przeciwnika za rękawy jego marynarki powyżej łokcia. Odnosi się to oczywiście do walki, w której nie stosuje się chwytów śmiertelnych. Walczący stojąc naprzeciwko siebie starają się z pierwszego tego chwytu „łokciowego“ wyciągnąć największe korzyści. Pierwszym i najprostszym trickiem jest postąpienie krok naprzód przyczem prawą nogę zapaśnik stara się postawić za prawą nogą swego przeciwnika. Następuje równocześnie szarpnięcie go ku przodowi oraz na bok poprzez podstawioną nogę.



Oto jak małego wzrostu Japończyk zdołał pokonać słynnego Dempsey'a.

W odpowiedniej chwili zapaśnik puszczając ramię przeciwnika chwyta go za piersi poniżej szyji i stara się przegiąć ku ziemi. Napadnięty nie chcąc aby złamano mu stos pacierzowy, pada na ziemię. W tejże chwili atakują-



Chwila przerzucania przeciwnika przez plecy, decydująca o jego unieszkodliwieniu. — Poniżej: Zwycięski zapaśnik japoński pokonuje dzięki błyskawicznym ruchom aż trzech przeciwników.

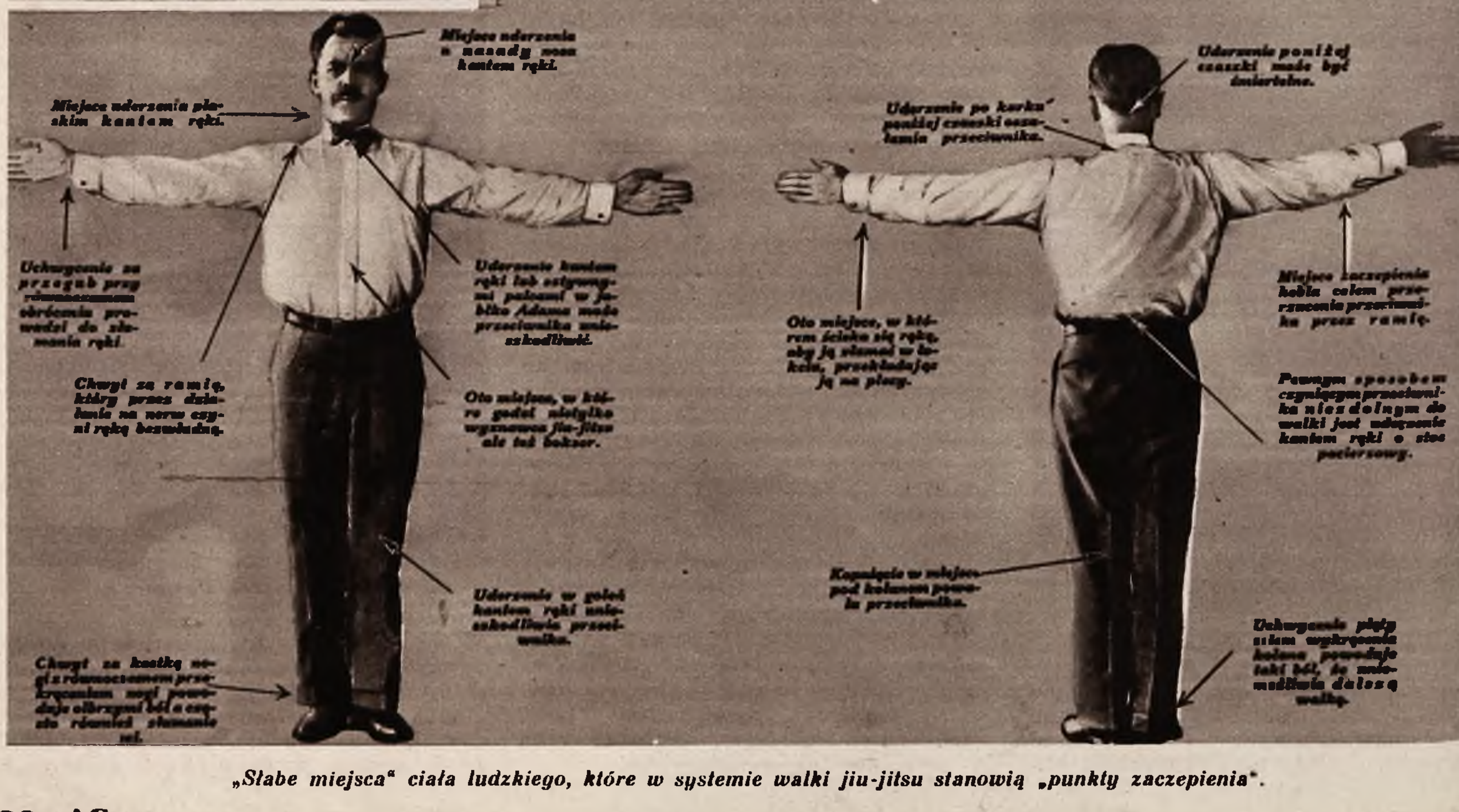


cy stawia pobitemu przeciwnikowi nogę na brzuchu, aby uniemożliwić mu wstanie.

Jeden z prostych tricków przypomina stosowany również przez zapaśników na arenie chwyt. Przeciwnika chwyta się bowiem za oba ramiona i czyni się zwrot na lewo w ten sposób, aby znaleść się plecami do przeciwnika. Następnie kładzie się rękę pod ramię przeciwnika, chwyta go się za kark, podnosi go się na plecach i rzuca głową naprzód ku ziemi. Zdolni szampjoni jiu-jitsu wykonują to ćwiczenie tak prędko, że ledwo można śledzić ich ruchy. Japończyk nie kontentuje się jednak tem zwycięstwem tylko powaliwszy partnera na ziemię, chwyta ramię przeciwnika, kładzie je na biodrze i trzymając za przegub ręki, łokciem na dół, przyciska go do ziemi, równocześnie jednak uderzając go na lewo, pod brodę. Broda stanowi tu punkt oparcia, a ręka hebel. W takiej sytuacji osoba napadnięta ma wybór albo dać sobie złamać rękę, albo też dać sobie skręcić kark. Obroną przeciwko tym chwytom jest schwytanie ręki napastnika w chwili kiedy zamierza wykonać pierwszy ruch, wyciągnąć ją i naraz możliwie silnie ją skręcić. O ile przeciwnik nie podda się i nie upadnie na ziemię, ramię zostanie złamane. Następny ruch polega na wciśnięciu kolana powyżej żołądka, nie wypuszczając ręki przeciwnika. Ból w ten sposób sprawiony jest tak olbrzymi, że przeciwnik musi się poddać.

Według naszych pojęć przeciwnik leżący na ziemi uważany jest za zwyciężonego i stosuje się wobec niego łagodniejsze traktowanie. Japończycy natomiast uważają pozycję leżącą za nieraz korzystną w walce. To też nie mogąc sobie inaczej poradzić, zapaśnik japoński upada na ziemię. Stara się on wtedy zaczepić nogą o kostkę przeciwnika uderzając drugą nogą w jego goleń. Jeżeli to nastąpi odpowiednio szybko, to następuje albo złamanie nogi, albo przeciwnik upada. Partner jego wstaje natychmiast, chwyta nogę leżącego za stopę i skręca nogę jaknajsilniej. Aby stworzyć sobie do tego heblowego ruchu punkt oparcia stawia się własną nogę na pachwinie przeciwnika. O ile ruch ten nie nastąpi dosyć szybko można samemu upaść brzuchem na nogę przeciwnika.

Jak widzieliśmy z tych przykładów, jednym z najważniejszych momentów jiu-jitsu jest stosowanie walki znienacka, to też nieprzyjaciel nie powinien zdawać sobie sprawy jakich tricków i ruchów zamierza się użyć. Walka taka wymaga ogromnie silnych nerwów, prędkiej decyzji i wielkiej bezwzględności, oczywiście że wymaga ona też siły fizycznej, zręczności i odpowiedniego ćwiczenia. Ważnym momentem jiu-jitsu jest umiejętność padania, to też mistrz w walce japońskiej umie w każdej pozycji upadać nie uderzywszy się, nawet wtedy, gdy pociąga za sobą swego przeciwnika. Jako samoobrona jiu-jitsu tylko wtedy przedstawia pewną wartość jeżeli przeciwnik nie zna kontr-chwytów. Praktyczniejszy już pod tym względem jest boks, który lepiej się zresztą nadaje do naszej mentalności, niż japońska morderсza walka.



„Słabe miejsca" ciała ludzkiego, które w systemie walki jiu-jitsu stanowią „punkty zaczepienia".

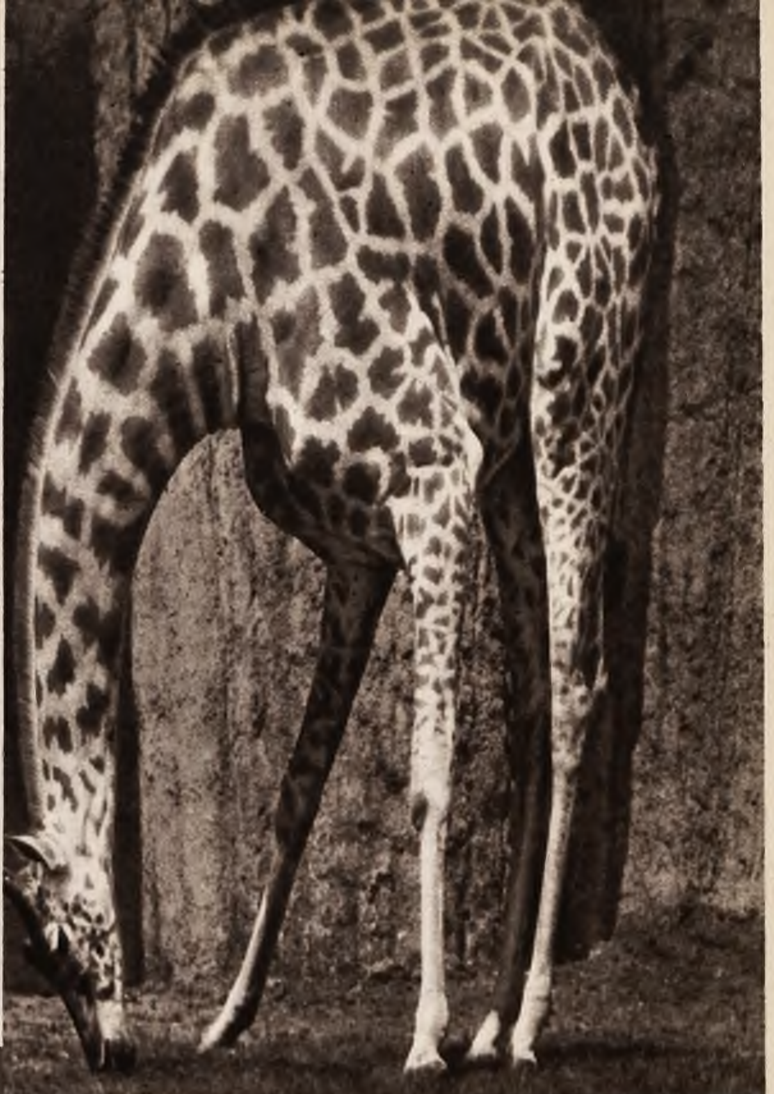
DWA POTWORY

Gdy grypa nas uchwyci
w gorączki objęcia parne,
widzimy w majaczeniach
różne stworzenia poczwarne.

Czyż są takiemi zjawami
także ten słoń i żyrafa?
Ach, nie... to tylko jest dowcip
objektywu fotografa!

WIT.

ARAL-PHOTO, PARIS.





Z teki muzycznej „Asa"

AKORD JESIENNY

Pieśń solowa

Słowa J. Zabierzowskiej. **Muzyka Adama Harasowskiego.**





Dzieci szczęścia

Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.

15-ty ODCINEK.

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA.

Objął lewem ramieniem za szyję przyjaciela i ciągnął dalej:

— A więc, zacznijmy od wyjazdu Ramona: Pojechał, my zaś zadecydowaliśmy, że się rozstaniemy, żeby zacząć żyć porządnie. — Jestem więc porządny. Chodzę do mego „Kakadu". Odstawiam mój numer — odstawiam go dobrze — nawet bardzo dobrze. Rano trenuję się w cykru. Wieczorem wracam do domu, do matki. — Matka jest jeszcze młoda — cudownie mi z nią! Bawimy się razem doskonale. Dwieście franków, które co wieczór zarabiam, odkładam skrupulatnie — mam oszczędności! — Popatrz na mnie: to prawda, co ci tu mówię! — Aż tu jednego wieczoru, pod koniec tygodnia, jakieś stare pudło — nie wiem już z której Ameryki rodem — upiera się, żebym z nią zatańczył tango w „Kakadu". Byłem tak łagodnie usposobiony — tak pełen dobrych postanowień — że, gdyby mnie był dyrektor grzecznie o to poprosił, nie byłbym odmówił. Nawet to byłbym zrobił! Ale to bydlę mówi mi, że jak zatańczę, to dostanę gruby napiwek! — Oczywiście daję mu w papę. — Awantura — większa bijatyka. — Uciekam, prześliznwszy się popod nogi, dzierżących mnie za kark, kelnerów. Ale rozeszło się to; wszyscy właściciele nocnych lokali sprzysięgli się na mnie. Rezultat: karjera moja, jako tancerza akrobatycznego, zwichnięta w zaraniu.

— Mój ty biedaku! — rzekł Le Droz ciepło i z głębokiem zrozumieniem.

— Z wściekłości, puszczam tej samej nocy wszystko, co oszczędziłem — i to z tem samem amerykańskiem pudłem, które zaprosiłem przez strzelca (był moim przyjacielem). Wywabiłem babę umyślnie z „Kakadu" — rozumiesz, w ten sposób przepadły dla tego chamagospodarza jej pieniądze! — Z tem wszystkiem nabrałem jednak zamiłowania do pracy. Puszczam się więc na zawodowego specjalistę od lądowania ze spadochronem. Od dawna już tentował mnie ten zawód. — Trafiłem na dobrą chwilę: meetingi lotnicze trafiały się liczne w tym czasie. Ale zachciało mi się pokazać coś lepszego. Zaczynam akrobacje na skrzydle samolotu i na podwoziu. Miałem dwa tygodnie cudowne wprost! Aż jednego dnia zerwałem sobie ścięgna w prawym boku. — Popatrz, cały jestem jeszcze odrutowany! — Ale może to i lepiej... Za przykre mi to było, siedzieć ciągle w tych samolotach — w tych motorach, które mi do ucha śpiewały tak cudnie! I te kierownice w ręku, które nie należały do mnie! — Byłoby się skończyło tem, że pewnego dnia byłbym im skradł maszynę i uciekł!

Umilkł, pełen chciwości i żalu — i zamyślił się.

— Ale co z temi wrotkami? — pytał z uporem Le Droz.

— Widzisz, po tym wypadku miałem dużo wolnego czasu. Jednego dnia, rano, przechodzę tędy iwidzę, jak bębny bawią się tą maszynką. Zacząłem się bawić z niemi — i teraz przychodzę tu codzień.

Nagle zląkł się, iż wyda się dziecinny przyjacielowi. Twarz Le Droza bowiem miała wyraz zamyślony, poważny niemal. Zawołał więc spiesznie:

— To jest bardzo użyteczne dla mnie. Z temi zerwanemi ścięgnami nie mogę robić żadnych sportów, w których tors i ramiona pracują. W ten sposób ćwiczę więc przynajmniej sprawność nóg. — Rozumiesz?

— Rozumiem... Rozumiem przedewszystkiem, że sam niewiele wart jestem w tej chwili... A ty... Ty... No nie — wystarczy, że rozumiem wszystko.

Ramiona Le Droza poczęły drżeć jakoś dziwnie. Po chwili zapytał:

— A nie mogłeś to dać znaku życia o sobie?

— Gdzie miałem dać? — I jak? — Nie wiem, gdzie mieszkasz — a w redakcji Petit Francais nigdy cię nie było. Musieli cię chyba wysłać zagranicę w jakiej misji?

— N... Nie. — Ale Roberta zna mój adres przecież.

— Tylko, że ja znów nie znam adresu Roberty. Wpadłem wprawdzie raz do niej nad ranem — ale w jakim stanie! — Mój Boże! — Byłem nawet w dosyć przykrem położeniu — szukałem cię, jak zbawcy wtedy... Teraz jestem zupełnie goły — i wreszcie uspokoiłem się.

Z pobliża dochodziły śmiechy dzieciarni, która zabrała się na nowo do zabawy. Trochę dalej widać było chmary wróbli, jak oblatywały kręgiem jakiegoś staruszka.

— Opowiadaj teraz o sobie. Pewnie się dowiem czegoś wspaniałego!

Dziennikarz nie był w stanie wytrzymać spojrzenia, pełnego wiary i podziwu, w zapatrzonych w siebie, skośnych oczach Ivana.

— Przejdźmy się — zaproponował.

Vivant zapytał wtedy nieśmiało:

— A może nie powodzi ci się tak dobrze — jak myślałem... mój stary...?

I wtedy, po raz pierwszy, odkąd stał się mężczyzną, Le Droz poczuł, jak wszelka pycha opada zeń — i że staje się bezbronnym wobec kogoś — a przedewszystkiem wobec siebie samego.

— Słuchaj, Ivan — nigdy jeszcze nie znalazłem się w tak okropnem położeniu, jak dziś... — wyznał, a gdy to mówił, głos jego nabrał jakichś chrapliwych dźwięków. — W którąkolwiek zwrócę się stronę — wszędzie stoi przedemną... jakby mur...

Powiedziawszy to, poczuł nagle wielką ulgę i zadowolenie. Teraz już słowa same cisnęły mu się na wargi, kiedy opisywał Ivanowi, w jaki wpadł nagle przeklęty krąg — i jak krąg ten zaciska się coraz silniej wokoło niego.

— Szedłem właśnie do pewnego lichwiarza na bulwar Malesherbes — skończył. — Ale spadłeś mi, na twoich wrotkach — jak z nieba! Nie pójdę już do niego. — Wystarczy raz się ukorzyć, żeby nie było już kresu upokorzeniom.

— Tak — Laivre-Filieu, postarałby się przekonać cię o tem...

— Znasz go także?

— Przecież sam dałeś mi jego adres!

Spojrzeli na siebie i nagle zaczęli się śmiać, jak szaleni. Odrazu znaleźli się na platformie, która była ich platformą naturalną — w atmosferze, w której mogli oddechać swobodnie — w której wszystko nabierało cech ufności i nadziei — gdzie władała pogarda dla norm, zwyczajów i kanonów zdrowego rozsądku, przyjętych przez ogół ludzki.

— To nasza wina! — rzekł Vivant. — Cnota nie służy ani mnie, ani tobie!

A Le Drozowi zdało się nagle, że w tych właśnie słowach Ivana odkrył ukrytą przyczynę wszystkich swych niepowodzeń — i zawołał:

— Masz rację! — Nie wiesz nawet, do jakiego stopnia masz arcję! — Rośliny, uprawiane w sztucznym klimacie, nie wydają właściwych im soków.— Nie zaprzęga się pełnej krwi konia do fjakierskich dyszlików. (Zapomniał przytem, że powiedzenie to było własnością Adriana, obecnie strzelca w Bastjonie Baskijskim). — Od miesiąca zadręczam się, obracając dziesięć razy każdy grosz w ręku! — Kiedy piłem, pozwalałem sobie pić tylko to, za co stać mnie było zapłacić. — Wydeptywałem redakcje — zamykałem się u siebie, jak mnich — żyłem oczekiwaniem jakiejś propozycji — jakiegoś zajęcia!— I oczywiście: zatraciłem w takiem życiu fantazję — wiarę w siebie — rozpęd — jednem słowem wszystko, czem można przebić się naprzód! — Jadałem u mojej gospodyni — do tego doszedłem! — Przestałem zupełnie liczyć na moje szczęście!



Na jego ramieniu kołysała się maleńka małpka...

— W takim razie... — przerwał mu Vivant, nieledwie z przerażeniem. — W takim razie... czy nie to samo byłoby umrzeć?

— Właśnie! — Byłem trupem przez te pięć tygodni. — Ale teraz, odnaleźliśmy się! — Powstałem z martwych! — Przedewszystkiem, zamieszkasz u mnie.

— Gramofon... kuferek... Wyniosę oba przez okno, z hotelu — począł myśleć głośno Vivant. — Trzecie piętro — to nie takie trudne...

— Będziemy jak dawniej pili — szaleli po zawadjacku! — Bijatyki po lokalach! — Porywanie kobiet! — Będzie się żyło! — I szczęście wróci!!

VI.

Przy jednej z uliczek, łączącej bulwar Montparnasse z Aleją du Maine znajdował się oryginalny lokal. Mury jego, malowane al fresco, przedstawiały fragmenty map geograficznych, wieże latarń morskich — wodorosty z głębin oceanu — kominy fabryczne. Z sufitu zwieszały się dwa trapezy, para kółek i huśtawka. Na estradzie, przeznaczonej dla muzyki, walały się rękawiczki do boksu.

Owego dnia, kiedyto Le Droz natknął się tak niespodziewanie na Ivana w Tuileriach, około godziny dziesiątej wieczór, w dziwnym tym lokalu znajdował się jeden jedyny człowiek. Był młody jeszcze, twarz jego jednak i włosy były szare, jak pergamin. Siedział, wydobywając, z niepoślednim artyzmem, oraz przejmującem uczuciem, ciche tony z saksofonu. Na jego ramieniu kołysała się maleńka małpka, o smutnej twarzyczce, odziana w marynarski mundurek.

Nocny ten lokal nosił miano „Huśtawka" — a pergaminowy saksofonista był jego właścicielem.

Małpka uniosła, zdobnego w czerwony pompon, beretu i podrapała się w głowę.

— Cóż Charly? — Źle się dzieje. — Ty też jesteś tego zdania — co? — rzucił młody człowiek pytanie małpce, tonem pełnym sarkazmu, którym zdawał się raczyć zarówno siebie samego, jak i świat cały. — Barmana jeszcze niema. A jak przyjdzie, nie będę mógł zmyć mu za to głowy — bo winienem mu pieniądze... A zresztą, choćby i przyszedł. k o g ó ż b y obsługiwał? Ciebie, Charly, chyba -- i mnie. Koło północy, zjawi się ze sześciu gości. — Czterej z nich będą napewne przyjaciele — z których nie wydusi się ani centyma..

Potoczył smutnem okiem po malowidłach ściennych, po przyrządach gimnastycznych. Nagle nastawił uszu: od wejścia dał się słyszeć odgłos czyichś kroków. Przekonał się jednak zaraz, że były to tylko kroki dwóch muzykantów, którzy wraz z nim stanowili orkiestrę „Huśtawki".

— Jak widzę, publiczność dziś tak samo liczna, jak zazwyczaj! — odezwał się uprzejmie pianista.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, wyszedł na estradę, usiadł i rozwinawszy szeroką płachtę wieczornej gazety, zagłębił się w niej. Powoli zeszli się jeszcze barman, strzelec i trzy dzieweczki z Montparnassu, fordanserki.

— Muzyka — i żywy inwentarz lokalu... — mruknął właściciel.

Wydobył kilka głośniejszych tonów ze saksofonu i rozpętał nimi dzikiego foxtrota. Zaczął tańczyć pokolei z fordanserkami — śpiewał refreny — wydawał okrzyki, podkreślające dynamikę jazzowego rytmu — jednem słowem „robił ruch" w lokalu. Zwęcone hałasem i jarzeniem elektrycznych słońc, przez szeroko otwarte drzwi z ulicy weszło jakieś jedno i drugie towarzystwo, szukające nocnej zabawy. Częściej jednak przechodnie zatrzymywali się na progu i widząc, że salka jest prawie pusta, szli dalej, mówiąc:

— Wrócimy, kiedy się jakoś pełniej tu zrobi...

Młody człowiek z małpką na ramieniu darzył ich wtedy szerokim uśmiechem; a kiedy znikali, śmiał się szyderczo:

— Tak, tak — idźcie się dusić po innych bajzlach, jak sardynki! — Tego wam potrzeba!

Pierwszym odruchem Le Droza, kiedy stanął na progu „Huśtawki", było również cofnąć się; lecz Vivant zatrzymał go.

— Misza! — zakrzyknął. — Przyprowadzam ci Le Droza, tak, jak ci to obiecałam.

Gospodarz przerwał z miejsca mozolną rozmowę z dwoma podstarnemi Szwedkami, (wybitnemi alkoholiczkami, stanowiącemi główne podpory jego lokalu) — ruszył jednym posuwistym krokiem po świecącej posadzce, niby po tafli lodowej ślizgawki — i już był przy obu przyjaciołach.

— No, wreszcie cię widzę, Ivanku! — jęknął. — Czemu nie przychodzisz co wieczora? Przecież możesz tu pić, ile chcesz na gapę — i twoi przyjaciele tak samo. — Nudzę się w tej budzie — bardziej jeszcze, niż moi goście! Piotr — prędko! — Duże whisky dla tych panów! — I dla mnie także! — krzyknął na kelnera.

— Muzyka! — zwrócił się ku estradzie.

I rozpromieniony, skoczył sam na podjum — chwycił saksofon i porwał za sobą muzykantów werwą i rytmem, który rozpętał znowu. Za chwilę już kilka par tańczących ożywiało środek salki. Spośród gapiów, przystających u drzwi, niejeden, znęcony, wchodził do środka. Kieliszki poczęły żywiej krążyć. Jakaś dama uwiesiła się nogami u kółek, zwisających z sufitu — a Misza usłużnie skierował na gołe jej uda światło reflektorów.

— Misza nazywa się naprawdę Misza — i jest Moskalem — tłomaczył Le Drozowi Vivant. — Poznałem go na Montmartrze, jeszcze nim poszedłem do wojska. Był wtedy szoferem i miał swoją własną taksówkę. Potem zaczął grać na saksofonie — potem prowadził jakiś nocny lokal — a teraz ma swoją własną budę.

Za chwilę Misza, z nieodłącznym saksofonem w ręku i małpką na ramieniu, usiadł przy stoliku, naprzeciw Ivana.

— Zjawiłeś się w samą porę — odezwał się. — Skończem tygodnia zamykam budę. Podatki — światło — czynsz — prawa autorskie... Skończone! — Broniłem się jak mogłem. I buda moja była oryginalna — i miałem też niezłe pomysły... Ale ci, co się naprawdę na tem znają — jak ty naprzykład — ci nie dadzą zarobić. A normalni klienci nudzą mnie... Dość tego — zamykam. Splókałem się kompletnie — ale jestem kontent. — Bo powiem ci jeszcze i to: Charly znudził się już także trapezami...

Vivant trącił pod stołem kolanem Le Droza. Był dumny ze swego rosyjskiego przyjaciela. Ten zaś zmarszczył pergaminowe czoło, jakby ścigał myślą jakieś wspomnienie, które mu się wymykało.

— Słuchajno, Ivan, czy mi się zdaje, czy mieliśmy naprawdę jakiś napięty interes?...

— Tak — i mnie się coś takiego wydaje... Poczekaj! — Ależ tak — oczywiście: Nawet dlatego szukałem tak Le Droza!

— Właśnie, właśnie! -- począł wołać Misza. — Przypomniałem sobie: chodzi o Grahama i jego film! — Co pan o tem myśli? — zwrócił się do Le Droza. — Ach, pan jeszcze nic nie wie o tej sprawie! — Nie, Ivan jest doprawdy niemożliwy! — Proszę posłuchać: mam tu pewnego Amerykanina, reżysera filmowego. Warjat czysty: przychodzi tu prawie co wieczór, do tej budy! — Zobaczył raz Ivana, produkującego się na kółkach, potem na trapezach. Zaśmiewał się z jego kawałów i zaproponował nakręcenie filmu z nim. Ale trzeba mu tematu — i to nie bylejakiego tematu! — rozumie pan?

Le Droz począł teraz słuchać uważnie. Lotna i chwytna jego wyobraźnia rzuciła się odrazu na żer, który jej podawano. Jakże mógł sam nie pomyśleć o tem dotąd?! (c. d. n.).



Panie chcą być piękne.

Malarstwo dekoracyjne twarzy ma w dziejach ludzkości swoją odrębną kartę. Ludzie, szczególniej panie, niezadowolone z tego, co im dała natura, starali się już na parę tysięcy lat przed Chr. poprawiać wady swej fizjonomji przez stosowanie różnych masaży, szminek, past, farbek etc. Jak to się wtedy nazywało niewiadomo, ale, że kobiety wszystkich wieków malowały się, to fakt. Zresztą podobno nietylko panie miały ten pociąg do korygowania natury; w epoce faraonów bowiem, i później także, mężczyźni narówni z białogłowami starali się o upiększanie oblicza. W różnych jednak okresach dziejów świata rozmaicie do tej sprawy podchodzono.

Jeżeli chodzi o dzisiejszą kosmetykę, to, jak twierdzi p. Mary Mayer, znana dziś już w całym kraju mistrzyni w tej dziedzinie, przypomina ona w swem założeniu kosmetykę u starożytnych Greków, kiedy to przy pomocy sportu i i ćwiczeń cielesnych starano się o doskonale piękne ciało. Malowanie twarzy w tej epoce stanowiło jakgdyby nieznaczny, dyskretny rysunek ornamentacyjny, bez którego całość nie byłaby skończonem pięknem. Grecy jednak, mimo pogaństwa, wyznawali zasadę, która streszczała się w słowie „kalokagathia". Piękno i dobro było przez długie lata naczelnem hasłem wychowania młodzieży. Uważali oni, że w pięknej formie powinien być zawarty piękny duch.

Dziś daje się zauważyć powszechny nawrót do kultury fizycznej. Chwilami nawet trochę przesadzony, w każdym zaś razie niewspółmierny do rozwoju ducha. W parze z kulturą ciała, rozwija się nowoczesny zupełnie kierunek kosmetyki. Główną, a bodajże nawet jedyną w swoim rodzaju reprezentantką tej kosmetyki jest p. Mary Mayer. To nazwisko kojarzyło mi się dawniej ze słowami takiemi jak „maquillage", perfum, szminka, puder, karmin do ust i t. d. Zdawało się zawsze, że sama p. Mary Mayer to uosobienie takiej właśnie typowej, sztucznej piękności.

Tymczasem przeciwnie. Jest to osóbka, wyglądająca na 23, a może nawet mniej lat, o postaci zupełnie dziewczęcej. Jasna blondynka, i to „naturalna", o pięknej, zdrowej, jędrnej cerze, bynajmniej nie uszminkowanej, o ładnych, wyraźnie zarysowanych ustach, lekko podkarminowanych i szczerych, ogromnie pogodnych, jasnych oczach. Brwi wyregulowane, jednak nie wyskubane, rzęsy normalne, no, krótko mówiąc kobieta, o którejby nikt nei powiedział, że to właśnie mistrzyni w dziedzinie nowoczesnej kosmetyki.

Ale w tem właśnie tkwi cała jej sztuka. Mary Mayer wcale nie chodzi o to, żeby przychodzące do niej panie wymalować na bóstwa, którym jednak trzeba dla ostrożności przypiąć kartkę z napisem „świeżo malowane". Pojęcie o kosmetyce ma ta pani zupełnie oryginalne i bardzo ciekawe.

— Uważam, że niesłuszne jest podejście do sprawy kosmetycznej od strony traktowania jej jako czegoś fałszywego, sztucznego, anormalnego, czegoś, co się ukrywa, maskuje, tuszuje...

Dzisiejszy wiek postępu, dzięki zdobyczom medycyny, naukom przyrodniczym, chemji, technice, przyczynił się do kompletnej zmiany oblicza kosmetyki. I choć zadaniem tej sztuki jest nadal, jak przed laty, upiększanie i dążenie do naprawy błędów natury, to jednak metody działania uległy takiej zmianie, że z pojęciem dawnej kosmetyki nie ma ta sztuka dziś nic wspólnego.

P. Mary Mayer mówi o tem wszystkiem z dużem przejęciem. Wystarczy zresztą chwilę obserwować ją, żeby zdobyć całkowite przekonanie, że to nie są frazesy, że nie idzie jej w tym wypadku o chwalenie się, reklamowanie swoich odkryć, czy wyników pracy. Dla niej kosmetyka i całe jej atelier, to w tej chwili cały świat. Placówka przez nią samą stworzona, to jeszcze jeden dowód, że każda rzecz, którą się robi z przekonaniem i wiarą, może stać się czemś wielkiem. Kosmetyka, niby nie ważna rzecz, a warto zobaczyć pracę w tem nowoczesnem atelier, przyjrzeć się organizacji całego instytutu, posłuchać rozmów z chirurgami, dermatologami, chemikami, no i zobaczyć te zastępy pań, jakie odwiedzają atelier, żeby się przekonać, że to instytucja prawie że naukowa.



Mary Mayer.

Fot. M. Bil.

Ale posłuchajmy, co mówi p. Mary Mayer.

— Kosmetyka dzisiejsza, to dążenie do uzyskania pięknej, zdrowej cery. Uzyskać ją można przez zabiegi lecznicze, mające na celu usunięcie defektów przez wszelkiego rodzaju zabiegi z dziedziny światłolecznictwa, chemji, chirurgji, szeroko pojęty masaż, kąpiele, natryski, gimnastykę, zamiłowanie do sportu, dobrze obmyślany tryb życia, oraz racjonalny i higjeniczny sposób odżywiania się...

— A te baterje słoików, które tu widzę na półeczkach, zawierają napewno szminki, maście i t. p.

— Widzę, że pan niebardzo wierzy w to, co mówię!

— Przeciwnie, jestem oczarowany tem wszystkiem. Ale przecież piękne panie, pragnące być jeszcze piękniejszemi, które tu do pani przychodzą, wierzą napewno też bardziej szmince, niż wszystkiemu innemu.

— Otóż tu kwi wielkie nieporozumienie. Te środki kosmetyczne, czy jak je pan nazywa szminki i maście, to tylko dodatki, uzupełnienia tych wszystkich zabiegów chirurgiczno-leczniczych. Nic nie pomoże pięknej pani, która będzie używała najdroższych kosmetyków, jeżeli nie będzie stosowała się do przepisów lekarskich, jakich wymagać będzie stan jej skóry i wogóle całego ciała.

— Zadaje mi pan pytanie, którego najbardziej nie lubię. Mam własną metodę, bo, jak panu wiadomo, poświęciłam się tej dziedzinie i poza wiadomościami zasadniczemi, jakie zdobyłam w szkołach zagranicznych, nic z tej zagranicy nie przywożę. Chcę też, żebyśmy wreszcie nabrali otuchy i wiary we własne siły. Nie chwaląc się, mogę powiedzieć, że moja szkoła stoi na takim poziomie, że bynajmniej nie ustępuje zagranicy. Powiem Panu jeszcze coś. Wobec naszych pań nie można stosować tych wszystkich zagranicznych tricków. Tu trzeba pracować uczciwie i solidnie. Dlatego też stworzyłam własną, oryginalną metodę, dostosowaną do naszych warunków i do usposobienia naszych pań...

Rozmowa przeszła następnie na temat ostatnich nowości w dziedzinie kosmetyki. Jedną z takich nowości jest „czarna maska", która doprowadza po 5 minutach skórę twarzy do pięknej jędrności. Ale jak to się robi, to tajemnica Mary Mayer. Wszystko to zresztą jest zbyt fachowe, by w ramach tego feljetonu można było roztrząsać.

B. Sł.

IDĄ GODNE ŚWIĘTA

Co roku prawie powtarza się to samo. — Na miesiąc przed świętami słyszy się ze wszystkich stron: „święta w tym roku nie urządzamy, bo to i wielki koszt i straszny kłopot".

Ale postanowienie to pryska jak bańka mydlana na dwa — trzy dni przed świętami. Siła tradycji jest jednak bardzo silną i wystarcza najmniejsza podnieta z zewnątrz, aby wszystkie gospodynie stanęły w pełnym rynsztunku przygotowań przedświątecznych. Gdy wszystko trzeba robić w ostatniej chwili, grożą zazwyczaj komplikacje finansowe. To też najlepiej zawczasu dokładnie sobie wszystko obmyśleć z ołówkiem w ręku, aby świąt nie zatruwała myśl: „Co ja potem zrobię?"

Świątecznych zakupów nie trzeba przedewszystkiem odkładać na ostatnią chwilę. Kto ma bezpośredni kontakt ze wsią, niech sprowadza produkty paczkami żywnościowemi, a że u nas między cenami hurtowemi, a detalicznemi bywają wielkie różnice, warto urządzić zebranie znajomych pań i wspólnie produkty zakupić z pierwszego źródła, co da wielką oszczędność.

Młode gospodynie czują zawsze paniczny lęk przed wypiekami ciasta drożdżowego. Ale jeżeli przepisy są wypróbowane, produkty dobre i proporcja zachowana, to ciasto musi się udać. Kupione w cukierni wypada przynajmniej trzy razy drożej.

Pierniczki upiec można na dobre 10 dni przed świętami, bo nabiorą wilgoci i słodyczy — to samo nugaty, makagigi i t. p. przysmaki. Natomiast ciasto drożdżowe, strucle przekładane makiem, migdałami, orzechami i t. p. postaramy się upiec możliwie jak najpóźniej, t. zn. najlepiej w wilję Wigilji.

Zaprowiantowane zawczasu, mamy inny kłopot. Jak przechować produkty, aby były świeże do chwili użycia?... W miejscu czystem, przewiewnem i chłodnem.

W mieście doskonałą spiżarnią będzie balkon. Jeżeli jest zimno, a niema mrozu, można ustawić na balkonie skrzynkę lub duży kosz i stworzyć sobie w ten sposób przewiewny schron. W razie mrozu skrzynkę czy kosz okryjemy papierami i kocem, aby produkty nie traciły na wartości przez zamarznięcie. (Ciasto drożdżowe zmrożone, traci na smaku i rozsypuje się na kaszę.) Kto nie ma ani balkonu, ani spiżarni, może sobie poradzić przez zapakowanie zapasów do koszyczków i zawieszenie ich przed oknem, wychodzącem na podwórze. Drób i zwierzynę najlepiej przechowywać na dworze, zawieszone na hakach.

Osobne słowo należy się t. zw. „porządkom świątecznym". W pojęciu dawnem nie powinny właściwie istnieć, bo dziś każde mieszkanie zawsze utrzymuje się w należytym porządku, przeznaczając na bardziej dokładniejsze porządki wiosnę i jesień.

Choinkę można (mając ganek czy balkon) kupić na tydzień naprzód, w wolnych chwilach przygotowując świecidełka i łańcuchy do jej ozdobienia. Przy dobrej woli, nawet nie dysponując specjalnym budżetem „gwiazdkowym", można nawet dla każdego z domowników przygotować jakiś ładny drobiazg. Wiemy jak to i „z niczego" wychodzą istne cuda.

Fantazyjne naszyjniki i bransoletki z paciorków, torebka haftowana ściegiem gobelinowym, okładki do książek, poduszki na kanapę (z resztek aksamitu) kołnierzyki i żaboty, haftowane z brokatu i lamy, — wszystko to da się sfabrykować z resztek materjałów, które się znajdą w każdym domu.

Lalki-maskotki mogą uszczęśliwić znajomych płci obojga. Zwłaszcza lotnicy i automobiliści są na takie „cudeńka" bardzo łakomi.

Kupowanie podarków to też sprawa doniosłej wagi. Wybór nie jest łatwy, bo dużą rolę grają tutaj nietylko względy budżetowe, ale i upodobania oraz wiek i potrzeby osoby, którą chcemy obdarować. (Tego nie odkładać na ostatni dzień.)

Ale najważniejszą rzeczą będzie przygotowanie świąt pod względem psychicznym. „Gwiazdka" czy w pałacu, czy na poddaszu może być jednakowo szczęśliwą i radosną. Tylko trzeba umieć z niej wyłuskać słodycz radości.

Niechaj świętom przyświeca dar przywracania sercom ludzkim radości, bo radość to kwiat, który coraz rzadziej, niestety, zakwita na grzędzie naszego życia.

Przysmaki świąteczne do zrobienia na zapas.

WYKWINTNE PIERNIKI. 2 i pół szklanki czystego miodu ucierać w donicy, aż zbieleje, dodając stopniowo 5 żółtek. Gdy masa już jest pulchna, wsypać 2½ szklanki mąki, pół na pół pszenną i ziemniaczaną. Ciasto ucierać tak długo, aż stanie się zupełnie pulchne, a na końcu wymieszać je lekko z pianą z 6 białek i korzeniami do smaku, oraz skórką pomarańczową. Korzenie do pierników to: goździki, cynamon, gałka muszkatułowa, kardamon. — Ilość ich normujemy podług upodobania, dbając o to, aby piernik był aromatyczny, lecz niezbyt ostry w smaku. Pierniczki takie, bardzo wykwintne, piecze się w niewielkich foremkach, zrobionych z papieru i posmarowanych olejkiem migdałowym, lub wyborową oliwą nicejską; piec nie powinien być zbyt gorący. Po upieczeniu przecinać je ostrym nożem, przełożyć masą migdałową, lub orzechową, oraz marmoladą z truskawek czy moreli, a potem polukrować glazurą lub lukrem pomarańczowym.

PIERNIK „KRYZYSOWY". 6 szklanek mąki pszennej zagnieść, dodając: 2 całe jaja, 40 dkg lekko rozgrzanego miodu i 20 dkg cukru. Dla zapachu wsypać łyżeczkę drobno potłuczonych i przesianych goździków i cynamonu i 2 łyżeczki siekanej skórki pomarańczowej, osmażonej w cukrze. W czasie zagniatania dodać 2 łyżeczki (strychowanej) sody oczyszczonej. Wyrabiać tak długo, aż ciasto będzie odstawało od ręki; poczem wałkować na stolnicy, podsypanej mąką, i formować pierniki dowolnych kształtów: drobne, albo większe figurki, wycinane foremki od ciastek. Można też rozciągnąć ciasto na blasze na palec grubo, a po upieczeniu polukrować i podając, krajać na drobne kawałki. Blachę, na której pieczemy pierniki kryzysowe, trzeba podsypać cieniutko mąką.

PIERNIK KRESOWY. Wlać w głęboką rynkę ogniotrwałą 1½ szklanki wody, dodać 40 dkg cukru-kryształu i 2 szklanki miodu; zagotować trzy razy, odstawiając za każdym razem od ognia, w międzyczasie szumując. Po ostatniem zagotowaniu dodać 3½ łyżeczki potażu, jeszcze raz zagotować i przestudzić.

Gdy ulep nieco przestygnie, dodać 1 kg mąki pszennej i ucierać masę wałkiem drewnianym; gdyby wydawała się zbyt rzadka, dosypać jeszcze 10 dkg mąki. Ciasto trzeba ucierać godzinę: pod koniec dodać łyżeczkę miałko utłuczonych goździków, trzy łyżki drobno posiekanej skórki pomarańczowej, osmażonej w cukrze, i 20 dkg migdałów, albo orzechów włoskich przepuszczonych raz przez młynek; wymieszać tak, aby dodatki rozprowadzić równomiernie po całem cieście, wysmarować blachę białym woski[redacted] (bardzo cienko) i układać ciasto, rozciągając [redacted] rękami. Pierniki kresowe piecze się w gorący[redacted] piecu; gdy lekko przestygną, lukrować glazurą czekoladową, albo lukrem o dowolnym smaku. Można go też przekroić na dwie lub trzy części i przełożyć masą migdałową, orzechową, albo grylażem, a wtedy lukrować glazurą czekoladową.

GRYLAŻ DO PRZEKŁADANIA PIERNIKÓW. 12½ dkg orzechów tureckich podsuszyć w piecyku i obrać z łusek: 12½ dkg drobnych migdałów zrumienić na ciemno-złoty kolor i przepuścić razem z orzechami raz przez młynek. Ucierać w donicy wałkiem drewnianym dopóki nie puszczą oleju, wtedy dodać 25 dkg cukru, pół laski sproszkowanej wanilji i znów ucierać, aż wytworzy się jednolita masa. Wlać do niej 10 dkg masła kakaowego rozpuszczonego na parze i ucierać, dopóki grylaż nie stanie się pulchny i jednolity.

LUKIER DO PIERNIKÓW. 20 dkg cukru zalać wodą, dodając jej tylko tyle, ile cukier wchłonie. Usmażyć do „nitki". Ubić 5 białek na bardzo tęgą pianę; do niej wlewać powoli wrzący syrop i mieszać bezustannie trzepaczką, dopóki glazura zupełnie nie wystygnie. Lukier taki można zabarwiać dowolnie farbami cukierniczemi, dodając również po parę kropel olejków, do różowego — różany, do żółtego — cytrynowy lub pomarańczowy; można też zabarwić lukier, dodając trochę kakao w proszku. Polukrowane pierniki obsuszyć na ciepłym piecu, albo w bardzo ciepłym pokoju.

LUKIER POMARAŃCZOWY. Wyśmienity w smaku i łatwy (zawsze się udaje) jest następujący lukier pomarańczowy: utrzeć na tarce jedną piękną, soczystą pomarańczę i jedną cytrynę, obraną z wierzchniej skórki, albo poprostu wycisnąć sok z dużej cytryny, a utrzeć tylko pomarańczę. Do miąższu i soku owocowego dodać 60 dkg cukru tłuczonego z głowy. Utłuc miałko i przesiać przez gęste sito. Wszystko to razem ucierać na niepolewanej donicy, wałkiem drewnianym, dopóki lukier nie zbieleje i nie stanie się gęsty i pulchny. Smarować powierzchnię pierników przekładanych i obsuszać w ciepłej pokojowej temperaturze. Nie używać nigdy na lukier pomarańczowy kupnego cukru-pudru, gdyż z niego zawsze otrzymamy pomadkę o szarawej barwie.

NUGATY. Nugaty zaliczamy do przysmaków świątecznych, dodając je do bakalji. Przygotować 20 dkg migdałów słodkich, obrać je (po sparzeniu) ze skórek, wymyć w zimnej wodzie, obsuszyć i pokrajać w talarki; 20 dkg orzechów laskowych przesuszyć lekko w piecu i oczyścić z łuski; 10 dkg skórki pomarańczowej, osmażonej w cukrze, pokrajać w drobną kostkę; 16 dkg fig w dobrym gatunku pokrajać w paski. — 30 dkg cukru zwilżyć wodą i wysmażyć na karmel, to znaczy do takiej gęstości, aby syrop, na patyczku, który w nim maczamy, natychmiast po zanurzeniu w zimnej wodzie, stwardniał. Do syropu wlewa się 20 dkg wyborowego, jasnego miodu, który trzeba przedtem zagotować w oddzielnym rondelku. Smażyć razem syrop z miodem przez 3 minuty, mieszając kopystką drewnianą od spodu. W czasie przesmażania ulepu, druga osoba powinna ubić tęgą pianę z 6 białek w głębokiem, ogniotrwałem naczyniu. Naczynie z pianą stawia się na ogniu i wlewa w nią stopniowo wrzący ulep, mieszając ciągle od spodu. Smażyć, dopóki masa nie podda się następującej próbie: kawałek masy wrzucić do zimnej wody, po chwili wyjąć: jeżeli da się łatwo zagnieść w palcach, nie przystając do nich — jest gotowa; wówczas zdejmujemy naczynie z ognia, dodajemy wyżej wyszczególnione dodatki, mieszamy doskonale i rozprowadzamy masę na grubym, cukierniczym opłatku na 2—3 cm grubo. Przykrywa się drugim opłatkiem, bierze pod lekką prasę (najlepiej użyć w tym celu książki, wielkości nugata) i trzymać tak, dopóki doskonale nie zastygnie. Pod książkę trzeba podłożyć cieniutką deseczkę lub grubą tekturę. — Nugat kraje się w kawałki dowolnych kształtów i wielkości, zawija w cieniutki, elastyczny papier [redacted]

KARME[redacted] kwarty śmietanki, 40 dkg cukru, 4 łyżki stołowe mielonej kawy, 2 dkg masła śmietankowego. Kawę sparzyć kwaterką gotującej się wody, gdy dobrze naciągnie, przecedzić, wlać kawę w śmietankę, dodać cukier i masło, gotować tak długo, jak poprzednie. Wylać na blat, wysmarowany oliwą lub olejkiem migdałowym, pokrajać podłużnie i włożyć w staniol.

KARMELKI CZEKOLADOWE. Kwarta śmietanki, 20 dkg cukru, 10 dkg czekolady waniljowej. Zagotować wszystko razem, mieszając bez przerwy. Gdy patyczek umaczamy w syropie, a potem w zimnej wodzie, a z cukru na nim pozostałego, utworzy się gałeczka, wtenczas wylać na stół marmurowy lub blachę, posmarowaną oliwą i pokrajać.

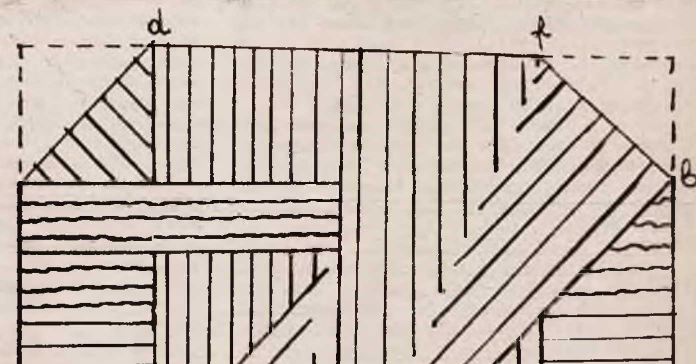
MAKAGIGI. 20 dkg cukru zagotować na gęsty syrop. Jednocześnie w drugim garnku uprażyć mak, żeby był bardzo gorący, mieszając łyżką, aby się nie przypalił; mak sypać do syropu mieszając (ma być litr maku i szklanka miodu). Smaży się razem, aż miód będzie rumiany. Następnie wsypać pół łyżki pszennej mąki i ciągle mieszając smażyć jeszcze 10 minut. Stolnicę zmoczyć zimną wodą, wyrzucić masę, prędko rozprowadzić po stolnicy i rozwałkować porcelanowym wałkiem. Jeżeli mamy tylko wałek drewniany, trzeba go posmarować oliwą. Prędko pokrajać w zgrabne kwadraciki i osuszyć.



Oto jak wygląda bombonierka zrobiona z włóczki i kartonu.

BOMBONIERKA

[illegible] z tektury, nawijając na nią [illegible]ską (kolor morski) [illegible]ratu o boku 10 cm; [illegible]my narożniki o bo- [illegible]bok z kwadratu [illegible]dniego i wyklei- [illegible]m glansowanym. [illegible] pas tektury szeroko- sci 3 i po[illegible]kreślamy kolejno cztery razy odcinki 6-cio i 3-y centymetrowe; nacinamy je teraz pionowo i, po przygięciu, zlepiamy stykające się boki klejem i papierem. Wieczko, które stanowi główną ozdobę pudełka, owijamy wełną; z początku nawiniemy nić granatową tak — by pokryła jeden z boków 3-centymetrowych i jemu przeciwległy; koniec nitki wsuwamy pod nawinięcie. Teraz na jeden z boków dużych (6 cm) nawijamy pasmo nici zielono-niebieskich, szer. 2 cm i z obu jego stron — po 1 cm nitek żółtych. Następnie 4 boki pokrywamy według rysunku 2, posługując się równocześnie dwiema nićmi — a mianowicie od p. „e" do p. „d" prowadzimy zielono-niebieską i przykrywamy ją nicią granatową, poprowadzoną od p. „c" do p. „b"; czynność tę powtarzamy tak długo, aż boki małe pokryją się nicią granatową, a połowa boków dużych — zielono- niebieską. Obecnie zapełnimy drugą połowę boków dużych nicią taką samą, prowadząc nawijanie od p. „e" do p. „f"; przytem nitka ta idzie spoczątku wierzchem, potem podchodzi pod pasmo granatowe i wyciągamy ją przy „f" między pierwszą a drugą nicią tego pasma; zatem druga nić trafi między drugą a trzecią granatową itd. — aż do pokrycia reszty boków dużych.



2. Schemat owijania wieczka bombonierki.

Pozostałe na bokach innych dwa puste pasemka wypełnimy wełną żółtą tak — że poprowadzimy nitkę z p. „b" pod spodem do połowy długości, a od połowy puścimy ją wierzchem; postępując tak, otrzymamy pasemko żółte; takie samo poprowadzimy odwrotnie u dołu.

Boki pudełka będziemy owijać wełną pionowo, dając pasy będące, tak co do koloru jak i szerokości, przedłużeniami pasu, zdobiących wieczko.

Nakoniec przyczepić należy nitkami wieczko do odpowiadającego mu boku, a dno — wcisnąć lekko do środka ,aby się mogło mocno trzymać.

Po tylu radach — przyjmijcie Panie jeszcze jedną: nałóżcie do bombonierki słodyczy i obdarujcie kogoś, kto będzie tego wart (o tem musicie zadecydować już same).

Powyżej opisana bombonierka jest jednym z licznych drobiazgów, które można tanim kosztem zrobić w domu, odnosząc również tę przyjemność, że obeszło się bez cudzej pomocy. W następnych numerach „Asa" przyniesiemy naszym Czytelniczkom jeszcze niejeden taki „domowy" drobiazg, który można zrobić „we własnym zakresie".

Jo.

Łamigłówki

MODY MĘSKIEJ

SZALE I CHUSTKI.

W garderobie dobrze ubranego mężczyzny nie powinno dziś zabraknąć tych pięknych, niezwykle barwnych materjałów, które oplatając jego szyję, biegną w miękkich fałdach wzdłuż kołnierza palta, czy też ulstra, albo w obszerny węzeł zawiązane, spływają pomiędzy klapy płaszcza, przyciągając oko subtelną kratą szkockiego wzoru, dyskretnemi paskami, lub wkońcu symetrycznie rozrzuconemi na gładkiem tle grochami o różnych kształtach.

Nie będzie przesadą, gdy powiemy, że chustka lub szal odgrywają w porze zimowej i to w odniesieniu do wierzchniego ubrania mężczyzny tą samą rolę, jaką moda wyznaczyła krawatce, jako części składowej garnituru marynarkowego. Ten jednak punkt widzenia mało jest jeszcze u nas rozpowszechniony. Jak dotąd utrzymuje się raczej przeświadczenie, iż szal czy też chustka powinny przedewszystkiem chronić kołnierz koszuli przed brudem, który w postaci pyłu osadza się na kołnierzu płaszcza. Dlatego to — tak użyte — tworzą one niejako futerał dla wrażliwej bielizny gentlemana. I w tym wypadku zarówno gatunek materjału, jak i kolor, a co ważniejsze wzór schodzą na dalszy plan.

Przyglądając się na ulicy niezliczonym rzeszom, spacerujących podczas zimy mężczyzn, zauważamy przeważnie jednobarwne (białe lub popielate) szaliczki, które niby paspołka kamizelki dawnego żakietu, chowają się wstydliwie wzdłuż kołnierza palta. W czasię mrozów odważniejsi decydują się na owinięcie szyji jakimś grubym szalem wełnianym, który napewno harmonizuje ze strojem sportowym, ale w żadnym wypadku nie może być właściwem uzupełnieniem ciemnego palta.

A jednak jakże mało potrzeba, aby pogodzić piękne z pożytecznem! Odrobinę zastanowienia — trochę dobrego gustu i zamiast jakiejś bezbarwnej szmatki lub przesadnie kolorowego szaliczka pojawia się wśród klap płaszcza odpowiednio stonowana chustka.

Aby zrozumieć, jaką rolę odgrywa ona w ubiorze mężczyzny, nie wolno nam zapominać o tem że różne jej rodzaje zwiazane są ściśle z fasonem płaszcza i co ważniejsze z gatunkiem oraz kolorem jego materjału. I tak do ulstra, utrzymanego w charakterze więcej sportowym, nadają się tylko chustki wełniane przyczem kolory ich mogą tu być śmielsze a wzory silnie zaakcentowane. Gładki fason ulstra, a więc pozbawiony dragona, naszywanych kieszeni, oraz

Dokończenie na str. 31-ej.



Z chwilą, gdy zaczęto nosić do palta nietylko melony, ale także i kapelusze filcowe o jasnych kolorach, stało się możliwem zawiązywanie koło szyji szala, którego rodzaj musi odpowiadać charakterowi całości ubrania.



Do ubrania sportowego, w którem przy zachowaniu długich spodni utrzymuje się, szczególnie w Anglji, w dalszym ciągu kombinacja różnorodnych pod względem rodzaju i koloru materjałów — ubiera się ciepłe pullowery i harmonizujące z niemi szale wełniane, o żywych barwach i wzrach, przeważnie szkockich.

✦ ✦ ✦



Wśród chustek wybijają się na pierwszy plan piękne kaszmiry, o subtelnym kolorycie i śmiałych wzorach. Dobrze ubrany gentleman nie powinien jednak zapominać o umiejętnym doborze barw tych chustek do koloru i rodzaju materjału palta.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka - obliczone na 3—4 osoby.

JAJA W KOSZULKACH (do buljonu lub barszczu). W płaskiem naczyniu zagotować wodę osoloną, na gotującą wpuszczać ostrożnie świeże jaja. Gotować powoli jedną minutę, zbierając białko wokoło żółtka, gdy się białko zetnie; żółtko powinno zostać surowe, wyjmuje się płaską łopatką dziurkowaną, okrawa strzępki białka i wkłada do filiżanki z buljonem.

SOS MUSZTARDOWY. Z 2 dkg masła i tyleż mąki zrobić jasną zasmażkę i rozprowadzić rosołem lub wodą, dodać sporą łyżkę musztardy, rozbić wszystko, aby grudek nie było, zaprawić solą, cukrem i octem lub cytryną, wkońcu zaciągnąć żółtkiem, rozgrzać silnie (nie gotować) i podać do jaj lub parówek.

PASZTECIKI Z MÓŻDŻKÓW. Udusić w maśle 10 dkg pieczarek, osobno ugotować, sparzony i obciągnięty z błon móżdżek, pokrajać go drobno i zmięszać z pieczarkami, dodać trochę tartej bułki, aby masa była gęsta. Usmażone tymczasem naleśniki napełnia się masą, formuje małe ruladki, panieruje, osmaża na maśle i podaje gorące z smażonemi ziemniaczkami.

PRZYSTAWKA Z MIĘSA ROSOŁOWEGO. Ugotowane mięso miele się z parusardelkami i kaparami, dodaje łyżkę masy pomidorowej, zaprawia solą i pieprzem. Wykrojone z bułki okrągłe grzanki macza się w mleku z jajkiem, nakłada farszem, posypuje grubo parmezanem i zapieka w piecu polane masłem.

SIEKANE T. ZW. GRECKIE BEFSZTYKI. Pół kg mięsa puścić dwa razy przez młynek, dodać 4 łyżki zimnej wody, posolić i popieprzyć, formować małe płaskie kotlety szybko osmażać z obu stron i wyjmować. Do pozostałego tłuszczu dodać łyżeczkę musztardy i surowego masła, troszkę wody, szczyptę soli i pieprzu, włożyć befsztyki, zagotować i podać z ziemniaczkami.

BUDYŃ Z KWAŚNEJ KAPUSTY. 1 kg kapusty wymięszać z utartą na tarle cebulą, paru łyżkami mąki i sporą łyżką smalcu wieprzowego. Odpowiedni wielkością rondelek wyłożyć cienkiemi płatkami młodej słoniny, nałożyć warstwę kapusty na to dać warstwę zmielonego mięsa wieprzowego lub krajanej w plastry kiełbasy, potem warstwę kapusty i t. d., aż się rondelek wypełni. Następnie zalać budyń wodą równo z kapustą, przykryć i wstawić na godzinę do gorącego pieca. Po godzinie zalać szklanką kwaśnej śmietany i piec odkryte jeszcze przez 15—20 minut.

STRUDEL Z SEREM PO WIEDEŃSKU. Z 36 dkg gładkiej mąki, łyżki topionego masła, cukru pudru i około szklanki letniej wody z solą zarabia się ciasto i wybija następnie aż się tworzą pęcherze. Ciasto musi być wolne. Ogrzanym rondelkiem przykryte pozostawia się je godzinę w spokoju. Tymczasem przygotowuje się masę serową: Do 40 dkg miękiego twarogu dodaje się 10 dkg masła, 16 dkg cukru z zapachem wanilji lub cytryny, 4 dkg rodzynek, 3 utarte żółtka, pianę z białek i kilka łyżek śmietany kwaśnej, tj. tyle, aby po doskonałem utarciu masa dała się nożem rozsmarować na rozciągniętem cieście. Zwinięty strudel piecze się oblany masłem. Po upieczeniu posypuje się cukrem z wanilją.

GALARETKA Z BANANÓW. 6 nie bardzo dojrzałych bananów obłupać i pokrajać na cienkie płatki, ułożyć na szklanej miseczce lub w formie wraz z dwoma również w plastry pokrajanemi mandarynkami lub pomarańczami, ubrać smażonemi wiśniami i skropić likierem maraschino lub rumem. Szklankę soku wiśniowego lub malinowego rozgrzać mocno, rozpuścić w nim 5 płytek żelatyny wypłukanej w zimnej wodzie. (Nie gotować, bo nabierze zapachu kleju). Sok z żelatyną przecedza się na owoce przez sitko, aby galaretka nie tworzyła grudek. Galaretkę podaje się z biszkoptami lub keksami.

KRUCHE CIASTKA (herbatniki). 32 dkg masła, 48 dkg mąki, 16 dkg cukru pudru Zagnieść na ciasto z łyżką kwaśnej śmietany, wywałkować i wykrawać gwiazdki lub placuszki. Posmarowane białkiem ciastka, posypuje się grubym cukrem z tłuczonemi migdałami i piecze do różowa w niebardzo ostrym piecu.

ANGIELSKIE KEKSY. 25 dkg mąki, 14 dkg cukru, 6 dkg masła ,2 jaja i 2 gramy amonium rozpuszczone w małej filiżance mleka, zarobić na ciasto i pozostawić przez 24 godzin w spokoju. Następnie dodać dalsze 25 dkg mąki i wyrobić na dość tęgie ciasto, wywałkować na grubość grzbietu noża, pokłuć gęsto widelcem i wykrawać foremką. Ułożone na woskiem natartej blaszce, piecze się w gorącym piecu na różowy kolor.

Sc. Ko.



JAK PODAWAĆ MASŁO?

Coraz to nowe przyrządy służą do formowania masła przy podawaniu na stół. — W Anglji używa się między innemi foremki do wytłaczania zgrabnych płytek, którą widzimy na zdjęciu. Używamy jej maczając ją każdorazowo w zimnej wodzie.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

Święta rzym.-kat.	Tydzień 49 — GRUDZIEŃ — Dni 31
Niedziela **1** Elizjusza bisk.	Buljon z jajem w filiżankach. Brukselka z kasztanami. Ozór peklowany z makaronem włoskim. Kompot. Tort orzechowy z kremem. Kolacja: Zimny półmisek z wędlin i sałaty majonezowej.
Poniedziałek **2** Bibjany	Barszcz na rosole z główki wieprzowej. Mięso z rosołu z chrzanem. Befsztyki siekane z sadzonemi jajami i szpinakiem. Pianka z jabłek z kruchemi ciastkami. Kolacja: Płucka cielęce wypiekane z buraczkami.
Wtorek **3** Franciszka	Zupa z jarzyn na śmietanie. Sznycelki z móżgów z puree ziemniaczanem. Pularda pieczona z kompotem. Kisiel żurawinowy. Kolacja: Kaszka krakowska na grzybkach.
Środa **4** Barbary	Zamiast zupy kalafior w białym sosie. Boczek wędzony z kapustą duszoną i Comber sarni z brusznicami /borówkami/. Suflet cytrynowy. Kolacja: Parówki w sosie musztardowym.
Czwartek **5** Saby, Kryspiny	Zupa z podróbek. Budyń z kapusty. Mostek barani po wiedeńsku z ryżem. Marchewka z groszkiem. Szarlotka z jabłek. Kolacja: Bigos.
Piątek **6** Mikołaja bisk.	Zupa z fasoli z kluseczkami. Szpinak z sadzonemi jajami. Smażone białe ryby z francuskiemi ziemniaczkami /paille/. Naleśniki z serem i bitą śmietaną. Kolacja: Sałata ziemniaczana z śledziem lub ziemniaczki w mundurkach do śledzia.
Sobota **7** [A]mbrożego †	Rosół rumiany z grzybkiem. Włoska kapusta duszona z gruszkami. Kuropatwy w śmietanie z ryżem. Jabłka smażone w cieście. Kolacja: Szynka lub zimne mięso z sałatką jarzynową.

Dokończenie ze str. 29-ej.

stebnowania, odznacza się również ciemniejszemi kolorami materjałów. Barwy chustek muszą więc również przybrać dyskretniejsze tony, choć bynajmniej nie takie, by ginęły w zestawieniu z ogólnym kolorem płaszcza.

Właściwe palto miastowe, które zwykliśmy nosić w kolorze czarnym, ciemno popielatym i granatowym, nadaje się najlepiej do użycia chustki fularowej. I tu najczęściej bywa zasadą, że tło chustki odpowiada ściśle kolorowi materjału płaszcza (przy czarnym i granatowym) i na niem dopiero rozrzucony jest dyskretny wzór, utrzymany w kontrastujących, ale zawsze stonowanych barwach, lub co rzadziej vice versa tło jest odmienne, a zato wzór odpowiada ściśle kolorowi płaszcza.

Tak chętnie obecnie noszone dwurzędowe płaszcze granatowe dały hasło do wprowadzenia mody na chustki kaszmirskie, których niezwykle piękne, ale niejednokrotnie zbyt silne w kolorycie wzory orjentalne nie zawsze harmonizują z całością ubrania. Tu jednak zależy wszystko od odpowiedniego doboru kapelusza.

Na zakończenie jeszcze parę słów o szalach. Powinny one być noszone wyłącznie do strojów sportowych. Tylko w wyjątkowych wypadkach, gdy np. płaszcz zrobiony jest z materjału o żywszym kolorze, a deseń np. fishgret, daje więcej swobody w doborze kapelusza, szal uzyskuje prawo obywatelstwa także i w mieście przy długich spodniach. W Anglji utrzymuje się nadal i w porze zimowej tendencja do noszenia kombinowanych ubrań sportowych o odmiennym materjale marynarki i spodni. Jak widzimy a zamieszczonej na str. 29 ilustracji, szal odgrywa przy tem ubraniu wybitną rolę, przyczem długość jego stosuje się do długości marynarki. Jako materjał bierzemy pod uwagę jedynie subtelną tkaninę czysto wełnianą, a w wzorach kierujemy się najchętniej gustem Szkotów.

O chustkach i szalach, które nosi się do strojów wieczorowych, pomówimy następnych razem, przy okazji omawiania fasonu fraka i smockiga. **Brummel.**

Rozwiązanie z N-ru 38.

1. WAGA KORKA.

Ciężar właściwy korka wynosi 0,24, a więc korek dwumetrowej wysokości i średnicy waży około 1500 kg., czyli półtora tonny. O podniesieniu go przez najbardziej nawet silnego człowieka mowy nawet niema.

2. KELNERSKIE ROZGRYWKI.

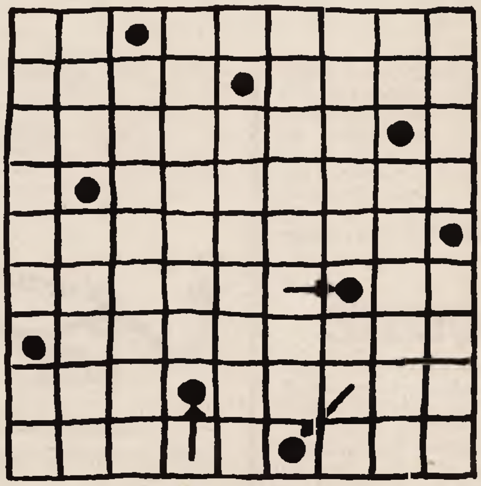
Łyżka waży 20 gramów, nóż 60 gramów, talerz 80 gramów.

3. URATOWANY BRYDŻ.

Czwarty gracz domyślił się nastania mgły po zwolnionym biegu maszyny i powtarzających się regularnie sygnałach syreny okrętowej.

4. MUCHY NA FIRANCE.

Rozwiązanie wskazuje rysunek.



ZDROWA RADA.



KLIENTKA: Te wszystkie kapelusze postarzają mnie, chciałabym coś, coby mnie odmłodziło!

SPRZEDAWCZYNI: Radziłabym w takim razie udać się do profesora Woronowa!

LEKARZ DOSKONAŁY.



PACJENT: Lekarstwo, które mi pan doktór zapisał, szkodzi mi na serce...

LEKARZ: Tak, tak, ale zato pomaga panu na reumatyzm!

W każdym polskim domu dzieło polskiego artysty





Pod tem pięknym hasłem urządziło w tygodniu bieżącym przy pomocy redakcji „I. K. C.", Tow. grafików w Krakowie, ul. Wenecja 7, subskrypcyjną sprzedaż drzeworytów, akwafort, miedziorytów, autolitografji i t. p.

Polska grafika współczesna zdobyła sobie należne uznanie nawet i zagranicą, lecz niestety szlachetna ta gałąź sztuki nie jest dotychczas u nas rozpowszechnioną w tem stopniu co w innych krajach.

Mądra inicjatywa spotkała się z nadzwyczajnem odzewem ze strony społeczeństwa, gdyż ilość zamówień już w pierwszych dniach ogłoszenia subskrypcji liczy się na tysiące.

Ponieważ liczba wykonanych własnoręcznie przez artystów i podpisanych odbitek jest ograniczona, należy szybko dokonać wyboru, wśród 33 egzemplarzy reprodukowanych codziennie na łamach „I. K. C." od niedzieli 24 listopada i wysłać zamówienie łącznie z wpłatą przez PKO. Nr. 407.025, dołączając 1 zł na koszta poleconej posyłki.

Wśród autorów znajdują się nazwiska tej miary co senj. grafików polskich prof. Ignacy Łopieński, rektor Wojciech Weiss, prezes Leon Kowalski, Zofja Stankiewicz, Adam Połtawski, prof. Jan Wojnarski, Paweł Steller i in. Ceny zostały w trójnasób obniżone, wynoszą po 10 zł. i 12 zł. za barwne drzeworyty.

Reprodukujemy dziś piękną planszę prof. Witolda Rzegocińskiego pt. „Burza" Nr. subskr. 13 wym. 32x27 cm akwaforta barwna cena 12 zł. i Marji Wolskiej-Berezowskiej „Łowy" akwaforta z akwatintą wym. 23x24 cm. cena 12 zł.

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

Znana z reportażu „Jadą wozy z cegłą" spółka autorska **H. Boguszewska i J. Kornacki** wystąpiła obecnie z drugą wspólną pracą, powieścią p. t. **„Wisła"**, wydaną bardzo starannie i w efektownej okładce przez **„Książnicę-Atlas"**. Jest to powieść doskonała i tem cenniejsza, że bodaj pierwsza w naszej literaturze zajmuje się życiem „wodniaków" wiślanych, opisując ich pracę i bytowanie na Wiśle od „fryjoru" poczawszy. to zn. od ruszenia lodów aż do późnej jesieni. Cały rok spędzamy na Wiśle z bohaterami tej powieści, poznajemy ich życie, ich język, ich dolę i niedolę. Akcja powieści toczy się na kilku berlinkach i holowni kach, na stateczku pasażerskim, a zazębia się o siebie niezwykle zręcznie w wielu dramatycznych momentach. Kilka typów silnie narysowanych. Sceny liryczne przeplatają się z realistycznemi tak interesująco, że z prawdziwem zaciekawieniem czytając tę powieść oczekuje się rozwoju wypadków. Chociaż takie środowisko wybrali sobie autorzy tej pięknej powieści, chociaż zachowali „koloryt lokalny" i ściśle oddali życie i język tej warstwy ludzi pracy, ustrzegli się, na szczęście, „nadrealizmu" i ordynarności, ustrzegli się modnych dzisiaj chwytów, polegających na używaniu ordynarnych słów i lubowaniu się w opisywaniu funkcyj naturalnych i t. d. „Wisła" jest książką poważną i ważną pozycją, a zarazem doskonałym krokiem naprzód w twórczości Boguszewskiej i Kornackiego. w. z.

* * *

Ostatnio ukazały się na półkach księgarskich dwie sensacyjne książki **Ludwika Szczepańskiego: „Medjumizm współczesny i wielkie medja polskie" i „Czy umarli mówią z nami? — Spirytyzm współczesny"**. Zjawiska takie jak duchy, strachy, przepowiednie, poznanie paranormalne, różdżkarstwo i t. d., których realność autor uznaje, rozpatrzone zostały ze stanowiska nauk przyrodniczych i filozofji. Książki L. Szczepańskiego, obficie ilustrowane, stanowią pierwszą w piśmiennictwie polskiem próbę ujęcia całokształtu zjawisk metapsychicznych i stanowią istotną encyklopedję okultyzmu współczesnego. Poraz pierwszy oświetlone tu zostały znaczenia doświadczeń Ochorowicza i innych badaczy polskich i przedstawiona historja medjów polskich. Książki te spełniają doniosłe zadanie, informując rzeczowo tych wszystkich, którzy ulegają licznym w tym względzie fałszywym poglądom i niczem nieusprawiedliwionym wyobrażeniom.

NA SCENIE.

Teatr im. J. **Słowackiego w Krakowie** gości obecnie najznakomitszą artystkę scen polskich, **Stanisławę Wysocką**, która ostatnio reżysersko doskonale przygotowała ciekawą sztukę Stuartów **„Szesnastolatka"**, i gra w niej rolę dobrej i mądrej babki. Kreacja Wysockiej niezrównana. Szesnastolatkę gra bardzo subtelnie i z głęboką prawdą wewnętrznych przeżyć, Marja Bednarska, a czternastoletnim podlotkiem jest świetna Alicja Matusiakówna, która wnikliwie i rozkosznie odtwarza psychiczne i życiowe przejścia pensjonareczki.

W Teatrze **Polskim w Poznaniu** po słabiutkiej, ale bardzo dobrze granej przez dyr. Boelke i Glińskiego komedji Acharda „Domino", ukazała się sensacyjna sztuka Kingsleya „Ludzie w bieli", którą wyreżyserował gościnnie występujący artysta teatrów warszawskich. Janusz Warnecki. Przygotował przedstawienie bardzo dobrze i świetnie odtwarza rolę główną. Doskonale sekundują mu Pluciński i Hańcza, oraz H. Galińska. W Teatrze **Nowym** cieszy się powodzeniem komedja M. Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej **„Powrót mamy"**, przygotowana reżysersko przez Z. Ziembińskiego, który wraz z Grabowskim zjechał na gościnne występy do Poznania gra z nim role główne w tej ciekawej sztuce.

Entuzjasta Ibsena, Karol Adwentowicz, w swym Teatrze **Kameralnym** w Warszawie wznowił **„Budowniczego Solnessa"**. „Chyba nikt lepiej od Adwentowicza nie potrafi pogodzić Ibsena z współczesnością — pisze Skiwski — nikt lepiej nietylko w Polsce, nie potrafi wypełnić przepaści między zimną konstrukcją intelektualną, a jej życiową projekcją. która znakomity aktor ogrzewa nieporównaną pasją swego talentu". Doskonałą partnerką Adwentowicza jest Grywińska w roli Hildy.

Trzy dużej miary wydarzenia teatralne ostatnich dni, to inscenizacja Sofoklesowego **„Króla Edypa"** w Wilnie, **„Nocy listopadowej"** i „Cyda" Corneilla — Wyspiańskiego w Warszawie. Lecz o tem obszerniej za tydzień.

(swb).

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 1 XII.

10.00: Transmisja nabożeństwa z Krakowa.
12.15: Poranek muzyczny ze Lwowa.
14.00: Fragment z książki p. t. „Listy z Afryki".
16.00: „Kukiełki Śląskie" (audycja dla dzieci).
16.15: „Zapomniani kompozytorzy" — koncert.
17.00: „Do tańca" — gra mała orkiestra P. R.
17.40: „Migawki regjonalne".
18.00: Recital śpiewaczy Ninon Valin.
19.30: Jehuda Mennechim — utwory skrzypcowe (płyty).
20.00: „Nasza marynarka gra".
21.00: Na wesołej lwowskiej fali.
21.30: „Perły Słowaczczyzny" — felieton.
22.30: Muzyka taneczna z udziałem „Trójki radjowej" — refreny.

Poniedziałek, 2 XII.

12.15: Muzyka z płyt.
15.30: Trio salonowe.
16.15: Koncert ork. Tychowskiego i Roznera.
16.45: „Od pomnika do pomnika" — skecz.
17.00: „Sprawa kobieca w Lidze Narodów".
17.20: Koncert solistów.
17.50: Pogadanka Brunona Winawera.
20.30: „Ormuz wyjeżdża" — koncert z udziałem solistów.
21.45: „Śląsk pracy" (wieczór literacki).
22.15: „Od Straussa do Lehara" (wiązanka operetkowa).
23.05: Muzyka taneczna.

Wtorek, 3 XII.

12.15: „Zabawki Tomka" — audycja dla dzieci ze szkół.
12.30: „Tysiąc taktów muzyki".
15.30: „Pieśni miłosne" J. Brahmsa.
17.00: „Bakelit" — odczyt.
18.00: VII Koncert z cyklu Kwartety Haydna.
18.30: Rola literatury w Państwie Sowieckiem — szkic literacki.
18.45: Melodje z oper Kurta Weill'a.
20.00: „Orkiestra pod gazem" — audycja muzyczna.
21.00: Polski koncert europejski.
22.00: Płyta za płytą (wiązanka lekkich melodyj).
22.30: Biologiczne ustosunkowanie się do jadu gruźliczego — odczyt.
22.45: „Wilno — miasto Marszałka Piłsudskiego" — odczyt w jęniem.
23.05: Muzyka taneczna.

Środa, 4 XII.

12.15: Wartości odżywcze pokarmów — pogadanka.
12.30: Koncert orkiestry Alberta Katza.
15.30: Muzyka lekka.
16.00: Zagadki muzyczne dla dzieci.
16.20: Recital Stefanji Pietraszkiewicz-Zacharzewskiej.
17.00: „Przyszłość bezrobotnej młodzieży" — odczyt z cyklu „Dyskutujmy".
17.20: Symfoniczna muzyka rosyjska.
18.00: Duety wokalne i utwory solowe.
20.00: Transmisja z Budapesztu melodyj węgierskich.
20.30: Kwadrans starych walców.
21.00: „Twórczość Fryderyka Chopina" — XIV audycja.
21.50: „Motor interesów" — pogadanka.
22.00: Muzyka taneczna.

Czwartek, 5 XII.

13.00: Zespołowe fragmenty operowe.
16.00: Polak nie płacze — Stary Doktór.
16.15: Koncert orkiestry wojskowej.
17.15: Muzyka lekka z udziałem Janiny Kay-Kuczyńskiej.
18.00: Recital Zygmunta Lisickiego.
20.00: Koncert solistów.
21.00: „Żywot niezłomny".
23.05: Muzyka lekka.

Piątek, 6 XII.

12.15: „Święty Mikołaj chodzi po świecie" — audycja dla szkół.
12.40: Orkiestra Adamskiej-Grossmanowej.
16.15: Ork. T. Seredyńskiego.
17.00: „Nauka w walce ze zbrodnią" — reportaż.
17.20: Pieśni polskie — Julja Ilnicka (sopran).
18.00: Trio op. 63 Webera.
18.45: Piosenki w obcych językach.
20.10: Koncert symfoniczny.
22.30: Muzyka taneczna z dancingu „Café Club".

Sobota, 7 XII.

12.15: Muzyka wokalna z płyt.
12.45: Koncert zespołu Seredyńskiego.
15.30: Recital fortepianowy Flory Czarnockiej.
16.15: Orkiestra harmonistów warszawskich.
17.00: Nabożeństwo z Ostrej Bramy.
18.00: „O szewczykowej duszyczce" — słuchowisko dla dzieci.
20.00: „Dzień i noc" — operetka.
21.30: „Wesoła Syrena".
22.00: Koncert z udziałem O. Straszyńskiego i Bojar-Przemienieckiej.
23.05: Muzyka taneczna.

SPÓŁKĄ WYDAWNICZA KURJER S. A.